

WITAMY V ZJAZD PZPR

odgłosy



45 (575)
10. XI. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

Dziś w numerze: ● Z czym jedziemy na V Zjazd ● Druga noc listopadowa
● Wandurski Heleny Karwackiej ● Problemy frontowego miasta ●
● Wiersze ● Felietony ● Recenzje



E. Kudaś

MARIAN PIECHAL

Idea niepodległości w literaturze polskiej

Zeromski spostrzegł i dał temu wyraz w swych utworach, że rok 1905, w którym po raz pierwszy objawiła się z taką żywiołową potęgą nowa siła historyczna, jedyna, jaka była zdolna dźwignąć i zrealizować postulat niepodległości narodu, ale na zasadzie jego rewolucyjnej przebudowy społecznej, jest kontynuacją i jakby syntezą wszystkich dotychczasowych polskich powstań i ruchów narodowowyzwoleńczych oraz tzw. buntów i rabacji społecznych. Jan Kiliński, Piotr Ściegienny, Jakub Szela, Jarosław Dąbrowski, Ludwik Waryński, a teraz Stefan Okrzeja byli bohaterami nowego pojmowania ojczyzny — ojczyzny przebudowanej społecznie na zasadach idei internacjonalistycznej. Miał tę świadomość Kościuszko, kiedy walczył za wolność Ameryki i zarazem Polski za Atlantykiem i kiedy ogłaszał swój uniwersał w Połańcu, miał ją także Mickiewicz, kiedy redagował

Dalszy ciąg na str. 6

KORNIEJ CZUKOWSKI

**Komunista
ZNACZY
CZYLOWIEK**

Na drzwiach wisiała karteczka śpiesznie przypięta jedną pineską:

Ludowy komisarz oświaty
A. W. LUNACZARSKI
przyjmuje tylko w soboty
od 2 do 6

Ale było oczywiste że kartka nie jest groźna: wisiała krzywo, bez jakichkolwiek pretensji do przesadnej oficjalności i nikt się z nią nie liczył — można było przestąpić drzwi, kiedy się miało ochotę.

Anatolij Wasiliewicz — cały Piotrogród nazywał Lunaczarskiego Anatolijem Wasiliewiczem — mieszkał wtedy na Manieź-

nym Pieriełku, nie opodal Litiejnego, w maleńkim, niepokojnym mieszkaniu, które całymi dniami było osaczone przez dziesiątki ludzi żądających rady i pomocy.

Pedagodzy, robotnicy, wynalazcy bibliotekarze, cyrkowi ekscentrycy, futurwści, artyści wszelkich kierunków i stylów — od nieriedziwników (realistyczny prad w dziewiętnastowiecznym malarstwie rosyjskim — objaśnienie Hum.) po Kubiśtów, filozofowie, baletnicy, hipnotyzerzy, śpiewacy, poeci Proletkultu i zwykli poeci, artyści byli sceny imperatorskiej — wszyscy długim szeregiem szli do Anatolija Wasiliewicza na drugie piętro, po zabrudzonych schodach, do ciemnego pokoju, który ostatecznie zaczęło nazywać „poczekalnią”.

Było to w roku osiemnastym. Wkrótce karteczke na drzwiach zastąpiła inna, nadzwyczaj okazała:

Ludowy komisarz oświaty
A. W. LUNACZARSKI
przyjmuje w Pałacu Zimowym (w takie dni)
i w Komisariacie Oświaty (w takie dni)
Tutaj przyjąć nie ma

Ale i to nie przestraszało nikogo: już około dziewiętej rano „poczekalnia” zapoisała się ludźmi. Siedzieli na lichej kanapie, na parapetach, na taboretach przyniesionych z kuchni.

Wszyscy do niego, Anatolija Wasiliewicza, do rade i pomoc: on siedzi sam w pokójku i każdego przyjmie z takim namietnym, żywym zainteresowaniem jak-

Dalszy ciąg na str. 4



Nareszcie! Po czterech latach bombardowań Demokratycznej Republiki Wietnamu prezydent Johnson powziął decyzję o całkowitym zamieszczeniu aktów agresji wobec DRW. 1 listopada o godz. 8 rano czasu waszyngtońskiego decyzja ta weszła w życie. Równocześnie zakomunikowano, że przedstawiciele NFW i władz sajsjońskich będą mogli włączyć się do rozmów paryskich. Pierwsze posiedzenie w tak rozszerzonym składzie wyznaczono na 6 listopada. Wszystko to razem zarysowuje perspektywę politycznego rozwiązania konfliktu, chociaż z pewnością rokowania będą długie i uciążliwe. Zresztą — zależy to będzie od intencji, jakie przysiądzący decyzji prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Wstrzymanie bombardowań DRW nie jest jakimś czynem niesławności Waszyngtonu. Wymuszone ono zostało niepowodzeniem wojskowymi USA oraz przegraniem opinii publicznej. Wymuszone zostało na pięć dni przed wyborami prezydenckimi. Dwa tygodnie temu pisaliśmy na tym miejscu, że albo administracja waszyngtońska zdecydowała się na ten krok, albo najbliższy współpracownik Johnsona, ubiegający się o rezygnację z funkcji demokratycznej o prezydenturę, Hubert Humphrey zdecydował się na krok ten, albo najbliżej współpracownik Johnsona, Hubert Humphrey, zdecydował się na krok ten, albo najbliższy współpracownik Johnsona, Hubert Humphrey, zdecydował się na krok ten. Humphrey głosił, że gotów jest podjąć ryzyko przerwania bombardowań, ale na zapowiedziach przestawiano. Trudno oprzeć się wrażeniu, że w ten sposób sondowano wewnętrzną opinię. Kiedy jednak okazało się, że obietnice nie zwiększyły szans Humphreya i nadal utrzymywała się przewaga Nixona — rzucano na szalę wyborczą atut przerwania bombardowań. Z jakim skutkiem — przekonamy się wkrótce.

Czas powzięcia decyzji, tak bliski wyborom, każe zwrócić uwagę na ten właśnie jej aspekt.

Wojna wietnamska w Stanach Zjednoczonych dawno już straciła popularność. Obchodzony w październiku Tydzień solidarności z walką narodu wietnamskiego obfitywał także w USA w liczne demonstracje przeciwko amerykańskiej interwencji. Część społeczeństwa znalazła się pod wrażeniem debaty generalnej w ONZ, w której — choć problem wietnamski nie znajdował się na porządku obrad — delegacje 55 krajów wypowiedziały się za natychmiastowym przerwaniem bombardowań. W tej liczbie znaleźli się również bliscy sojusznicy USA. Wszystko to razem sprawiło, że wojna wietnamska stała się ważnym czynnikiem wyborczym.

Decyzja Johnsona jest jednak przede wszystkim przyznaniem się do niemożności zakończenia wietnamskiego konfliktu sukcesem militarnym, który pozwoliłby USA dyktować warunki pokoju.

Półmilionowa armia amerykańska w Wietnamie, wspierana 600 tysiącami żołnierzy sajsjońskich i 100 tysiącami żołnierzy z Australii, Filipin, Płd. Korei, Syczaju i Nowej Zelandii, nie mogła zanotować na swoim koncie żadnego globalnego zwycięstwa. Zwiększają się tylko amerykańskie straty w ludziach i sprzęcie. Ostatnio ginęło już więcej żołnierzy amerykańskich niż sajsjońskich.

Nie spełniły wyznaczonego im celu również ataki lotnicze na DRW. Mimo iż zrzucono na Wietnam półmilion ton bomb różnego rodzaju, a bombardowanie Wietnamu było intensywniejsze niż Niemiec i Włoch razem wziętych w latach 1942-45 — nie zalatano do ludności DRW, a odwołanie umocniło ducha oporu i walki.

Ogromne środki, łożone na wojnę, przekraczające ostatnio w budżecie USA 25 mld dolarów rocznie, co sprawiło, że pod względem kosztów wojna ta nie ma sobie równej, pozostawały w oczywistej dysproporcji z efektami wojskowymi. Więcej — odbijały się dotkliwie na sytuacji wewnętrznej St. Zjednoczonych.

Przed pięciu miesiącami rozpoczęły się w Paryżu wstępne rokowania między Stanami Zjednoczonymi i Demokratyczną Republiką Wietnamu, których celem było przerwanie bombardowań. Trzeba było aż 28 posiedzeń, aby do tego doprowadzić. A był to warunek zasadniczy rozpoczęcia drugiej i podstawowej części rokowań, zmierzających do politycznego rozstrzygnięcia konfliktu. Teraz, kiedy wreszcie został on spełniony, można oczekiwać, że — jak się wyraził sekretarz generalny ONZ, U Thant — „perspektywy na pokój w Wietnamie są wyraźniejsze niż kiedykolwiek”.

Powiedzieliśmy powyżej, że rokowania mogą być długie i uciążliwe. Prognozy takie wynikają z reakcji amerykańskich „jastrzębi” na decyzję przerwania bombardowań, z pogroźki Johnsona, że mogą one być wznowione, gdyby przeciwnik chciał z tego wyciągnąć militarne korzyści oraz chęci utrudnienia rozmów przez przedstawicieli reżimu sajsjońskiego.

Podstawą rozmów w drugiej fazie paryskich rokowań powinny stać się: 4-punktowy plan uregulowania konfliktu, zgłoszony przez DRW i 5-punktowy Narodowego Frontu Wyzwolenia oraz Program Polityczny, uchwalony w sierpniu 1967 roku (przez nas swego czasu omawiany). Wszystkie te dokumenty oparte są bowiem o decyzję genewską i zmierzają do pozostawienia prawa ludności Wietnamu południowego decydowania o swoim losie. Mówią one także o tym, że Wietnam stanowi jedną całość, a jego zjednoczenie jest wewnętrznie sprawą całego narodu.

Respektowanie tych podstawowych zasad może utworzyć drogę ostatecznemu rozwiązaniu problemu, kwestionowanie ich — spowodować może długie i bezowocne dyskusje. Klucz do przywrócenia trwałego pokoju w Wietnamie jest więc w rękach delegacji amerykańskiej.

Świat żywo jest zainteresowany skutecznością paryskich rozmów z udziałem czterech już uczestników. Wojna wietnamska jest bowiem podstawową przyczyną międzynarodowego napięcia i hamulec rozwiązywania wielu nader ważnych problemów. Im szybciej więc definitywnie się zakończy — tym pewniejszy będzie światowy pokój.

W. ŚLAWSKI

Nie ulega wątpliwości, że polska powojenna kinematografia w swej części najważniejszej tkwi korzeniami w Łodzi. Ze w ciągu 23-letniego życia stała się nierozdzieloną częścią organizmu miejskiego. Tyle, że jest to mało uzewnętrznięte, bardziej wyczuwalne dla stałego mieszkańca, niż przybysza.

Warto więc zastanowić się nad możliwościami pogłębienia współpracy i silniejszego niż dotychczas wtopienia placówek filmowych w życie gospodarcze i kulturalne miasta. Jakże są te możliwości? Jakie formy działania pozwolą w sposób widoczny zaznaczyć rangę kinematografii i jej rolę w życiu gospodarczym i kulturalnym miasta?

I

Dobrym przykładem jest wyższa uczelnia filmowa, której wychowankowie jakże często pojawiają się na ulicach i placach miasta z kamerami w rękach wzbudzając zainteresowanie przechodniów. To niewątpliwie tworzy ów kolorystyczny film miasta. Ale cenniejszym walorem istotnego wrastania filmowej uczelni w organizm miejski będzie fakt częstego odwiedzania przez jej młodzież, również z kamerą w ręku, placówek kulturalnych, instytucji kulturalnych. Jeśli studenci tej uczelni, obok tematyki natury ogólnej związanej z programem kształcenia, weźmą na warsztat szkolnej produkcji artystycznej życie tej metropolii przemysłowej, jaka jest Łódź: sprawy jej przemian gospodarczych, społecznych i kulturalnych. Cennym wkładem uczelni filmowej w sprawy rozwoju swojego miasta będzie realizacja pewnej części etud poświęconych konkretnemu zakładowi przemysłowemu, co już zostało z powodzeniem zapoczątkowane. Etudy filmowe na temat przemysłu łódzkiego i placówek kulturalnych mogły być filmami fundowanymi, przy czym kopie przechodziłyby na własność fundatora dokumentując jego osiągnięcia.

Istnieje pewien dobry zwyczaj, praktykowany przez niektórych sławnych twórców filmowych, jak np. przez Chaplina a także przez producentów. To zwyczaj sprawdzania filmu, przed wypuszczeniem go na ekrany, prezentując go zwykłej publiczności kinowej. Otóż sądząc, że będzie rzeczka pożyteczna dla obu stron: uczelni i jej studentów, że i widzów kinowych — z drugiej, jeśli miasto przeznaczy jedno kino, w którym studenci będą w ramach dodatku do programu pokazywać swoje etudy, przysłuchując się bacznie opiniom i reakcjom publiczności oglądającej seans.

Z uwagi na swój charakter i eksplozywny wzrost dokonywanych się przemian społecznych i strukturalnych Łódź, jak żadne inne miasto, jest predestynowana do tego rodzaju konfrontacji. Tak jak nasze miasto, jak żadne inne w Polsce, jest jak najbardziej predestynowane do zapoczątkowania zintegrowanych badań naukowych w zakresie kulturalno- oświatowym i kształcenia kadr pracowników kulturalno- oświatowych w zakresie wyższym, między innymi z uwagi na istnienie w Łodzi, wyższej uczelni filmowej i zaawansowanych badań filmowych.

II

Kina studyjne, sądzę, mają poważne zadania do spełnie-

nia. Winny one być nosicielami kultury filmowej, w pewnym stopniu oświatą dla dorosłych, którym proponuje się określone działa filmowe do obejrzenia mające charakter poznawczy. Dlatego nie sposób jest prowadzić skutecznie kino studyjne, jeśli pozbawi się je cech placówki kulturalnej. Słowo to pociąga za sobą określone konsekwencje, za którymi kryją się propozycje kręgu kulturalnego.

Postuluje w tym miejscu przeniesienie dotychczasowego kina studyjnego z kina „Styly” do kina „Wisła”. Kultury trzeba reklamować, by konsument ją odnalazł w coraz bardziej nerwowym życiu wielkiego miasta z jego bardzo różnorodnym asortymentem proponowanych dóbr kulturalnych. Reklama programu kina studyjnego nie jest rzeczą bagatelną, reklama programu jego propozycji winna być skuteczna, co narzuca konieczność dogodnego miejsca spotkań w pierwszym rzędzie. Kino „Wisła” leży na drodze większej spacerowych, w kręgu większości lokali kawiarnianych. Kino studyjne musi mieć odpowiednią opra-

V

Z muzeum przemysłu i techniki kinematograficznej wiąże się sprawa drugiego muzeum bardzo powiązanego z kolorytem miasta. To Muzeum Łódzkiej Kinematografii, muzeum historyczne ilustrujące powstanie, rozwój i perspektywę kinematografii na terenie miasta. Realizacja nie wymaga specjalnych kosztów. Może być zorganizowane w jednym z łódzkich kin, które otrzymałoby nazwę: Kino-Muzeum. Potrzebna tu jest tylko dobra wola, inwestycja i 1000 zł.

Dyskusja przed WZJALDEM

ŁÓDŹ filmowa

VIII

Zaakcentowaniem faktu, że Łódź jest siedzibą głównych ośrodków przemysłu filmowego będzie podjęcie przez łódzkie ośrodki naukowe odpowiednich badań dotyczących historii kultury filmowej i przemysłu filmowego. Można mieć nadzieję, że wynikiem tych badań będą publikacje z kręgu tematyki użytecznej, przynoszącej pożytek na bieżąco, które będą służyć pomocą dla ludzi filmu, działaczy społecznych i kulturalnych, ludzi podejmujących decyzje w zakresie kinematografii. Wówczas wiele spraw ukrzywających się za parawanem „specyfika filmowa”, stanie się jasne i zrozumiałe.

IX

Dotychczas Łódzkie Wydawnictwo pozostawało na uboczu sprawy i tematykę filmową. Gdzie jak gdzie, ale tutaj w Łodzi, własne wydawnictwo nie powinno stronić od zagadnień tak organicznie związanych z życiem miasta. Jeszcze do niedawna Wydawnictwo Łódzkie było nawet głuche na moje propozycje opracowania historii łódzkiej kinematografii, tematu ściśle lokalnego. Jakież nieporozumienie, które proponuję czynić przedź wyjaśnić.

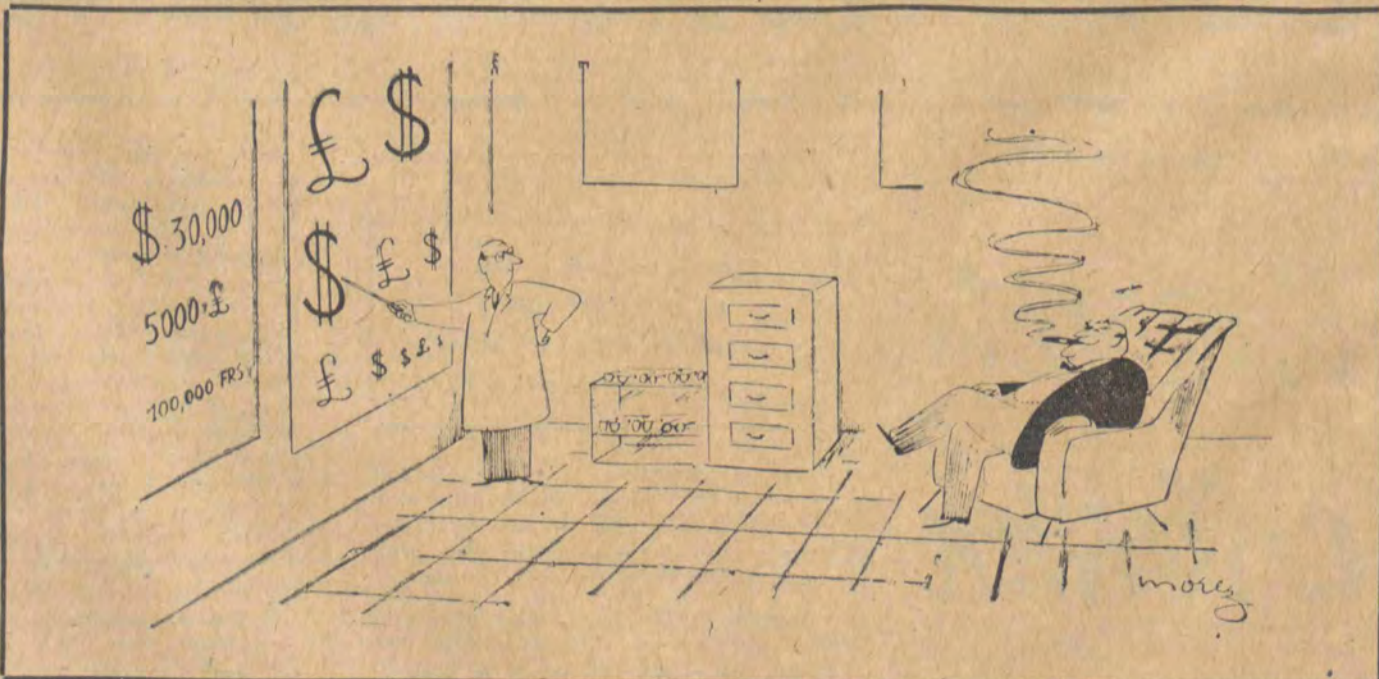
Spora jest tych akcentów podkreślających filmowość Łodzi, przypomnienie o tej prawdzie chyba nie będzie policzone na rzecz próżną. Ranga łódzkiej kinematografii i jej rola w kulturze miasta są tak oczywiste, że wydają się nam, mieszkańcom miasta za rzecz naturalną.

PROF. DR

WŁADYSŁAW JEWSIEWICKI

VII

Ze sprawą muzeów wiąże się inna. To zagadnienie pol-



Z czym jedziemy na V Zjazd

Redakcja „Odgłosów” zwróciła się do sekretarza KL PZPR tow. Hieronima Rejniaka oraz do kierownika Wydziału Propagandy KW PZPR tow. Alfreda Kusiaka z prośbą o odpowiedź na następujące pytanie: Z czym organizacje partyjne łódzka i wojewódzka jadą na V Zjazd?

Mówi sekretarz KL PZPR
tow. Hieronim Rejniak

Łódzka organizacja partyjna wypracowała w ostatnich 2 latach program rozwoju przemysłu, a co za tym idzie przebudowy i rozbudowy miasta, który to program Egzekutywa KL konsultowała na kilkunastu spotkaniach z przedstawicielami różnych środowisk, reprezentującymi przemysł, handel, naukę, kulturę i inne. Program ten w swoich podstawowych założeniach omawiany był już w prasie, radio i telewizji, nie ma więc chyba potrzeby do niego wracać, a i brak miejsca nie pozwala na to, aby go tu szczegółowo przedstawiać i analizować. Warto jednak zwrócić uwagę na następujące momenty: a) program przez nas opracowany mieści się w wytycznych na V Zjazd, oraz b) znalazł on pełną aprobację wśród szerokiego kręgów społecznych naszego miasta.

Wspomniany program zakłada całkowitą modernizację przemysłu włókienniczego, zmiany rekonstrukcyjne w strukturze przemysłu w ogóle, a więc m. in. rozbudowę takich gałęzi przemysłu, których rozwój wymagać będzie wysoko kwalifikowanych pracowników. Będzie to z kolei budowlana zabezpieczenia odpowiedniej bazy budowlanej, dalej: pociągnie za sobą konieczność dalszego rozwoju miasta, budownictwa mieszkalnego, urządzeń komunalnych itp. Naturalnie, jak w każdej dziedzinie życia, tak i tutaj o wykonaniu tego programu będą decydować ludzie. Dyskusje ideologiczne, prowadzone w ostatnich miesiącach i bardzo ożywione w okresie przygotowań przedjazdowych, wykazały (z nielicznymi wyjątkami) dużą wartość i duże wyrobienie ideowo-polityczne zarówno naszego aktywu, jak i w ogóle członków organizacji partyjnych, a także mocne zaangażowanie w sprawy budownictwa socjalistycznego ludzi bezpartyjnych. Zdajemy sobie, oczywiście, sprawę z tego, że rewizjonizm nie złożył broni. W toku jednak tego ogromnego ożywienia w sferze ideologii, gospodarki, nauki i kultury, nie miał on odpowiedniego gruntu do działania. Krótko mówiąc, choć o to, aby tempo naszej ofensywności nie słabło i nie malało. Stąd też starania nasze idą w kierunku aktywizowania ludzi nauki i kultury, czynnie zaangażowanych w życie partii i narodu, którzy by w swoich wystąpieniach, zwłaszcza wystąpieniach na łamach prasy, obnażali źródła rewizjonizmu, a także próbowali nowych opracowa-

wań w różnych dziedzinach życia i działalności. Można powiedzieć, że system zorganizowanego oddziaływania mamy rozbudowany bardzo dobrze, chodzi jednak o to, aby zapewnić temu oddziaływananiu właściwe tendencje i treści. Wiąże się to z kwestią problemem kadr, z fachowym przygotowaniem do realizacji tak szeroko zakrojonego programu. Mam tu na myśli kadry z pełnym wykształceniem średnim i wyższym. Jak ta sprawa przedstawia się w Łodzi? Podam tu kilka cyfr:

W 1964 roku w całym społecznym przemysłu Polski na 1.000 zatrudnionych przypadało 12 inżynierów, w Krakowie — 21,2 inżynierów, w Warszawie — 23,4 inżynierów, w Poznaniu — 17,8 inżynierów, w Łodzi — 10 inżynierów. Podobnie rzecz ma się z ekonomistami. W 1964 r. na 1.000 zatrudnionych w przemyśle w skali kraju przypadało 2,9 ekonomistów, w Krakowie — 6, w Poznaniu — 5,4, a w Łodzi — 2,4. Dane powyższe wskazują na fakt, że jest to wskaźnik grubo poniżej średniej krajowej. Oczywiście, pewnym wyjaśnieniem tej statystyki jest struktura przemysłu łódzkiego z tym kluczowym działem, przemysłem włókienniczym, w którym inaczej przedstawia się struktura zawodowa zatrudnionych. Jeżeli się weźmie pod uwagę szybkie zmiany w strukturze zatrudnionej Łodzi polegające na zmianie znaczenia w przemyśle „elektromaszynowego”, które nie może funkcjonować efektywnie bez nasyconia wyższymi kadrami, jak również rewolucję w obliczu której stoi przemysł włókienniczy w ogóle i w Łodzi w szczególności, jeżeli wziąć to pod uwagę to liczby te są niezadowalające. Oczywiście w ciągu minionych czterech lat (wyżej wymienione dane dot. r. 1964) wiele w tym względzie uległo poprawie. Jednocześnie ukazują one zarówno skalę potrzeb jak i potrzebne tempo rozwoju łódzkiego ośrodka naukowo-badawczego w najbliższej perspektywie. Przeglądając się że w Łodzi liczba specjalistów z wyższym wykształceniem z 23.000 w 1964 r. podnieśli się do 39.000 w roku 1969, a w roku 1975 do 52.000. Tempo wzrostu jest wyższe od ogólnokrajowego, jednakże w 1975 roku nie osiągnęliśmy jeszcze tego poziomu nasyconia gospodarki kadrami z wyższym wykształceniem, jak celujemy inne wielkomiejskie ośrodki naukowo-badawcze. Osiągnęliśmy już taką sytuację, że 98 proc. młodzieży zapewniamy możliwość dalszego kształcenia, wyżej podstawowego. Idzie jednak o to, że wraz z dynamicznym rozwojem techniki, technologii itd. musimy dostosowywać profil szkolnictwa zawodowego do potrzeb gospodarki. Ponadto w miarę wprowadzania do programów nauczania nowych treści należy energiczniej i bardziej konsekwentnie usuwać treści przestarzałe, nadmiernie obciążające uczących się. Stąd potrzeba takiego u skierowania rozwoju szkolnictwa, które byłoby w sta-

nie wyprzedzać niejako rozwój nowych gałęzi przemysłu, które by się dostosowywały do potrzeb gospodarki i jej perspektywicznego rozwoju. Nie jest to rzecz niemożliwa do zrealizowania. Ostatnio bardzo wzrosła sprawność nauczania. Idzie więc o to, aby zabezpieczyć w pełni potrzeby gospodarki narodowej poprzez dalszy wzrost sprawności nauczania (terminowe ukończenie studiów, dobre przygotowanie do czekających zadań, itp.) oraz poprzez dalszy rozwój wyższych studiów dla ludzi pracujących. Myślę, że realizacji tych zadań będzie sprzyjać unowocześnienie i reorganizacja struktury szkolnictwa wyższego. Trzeba powiedzieć, że osiągnęliśmy znaczny postęp w zakresie dopływu na studia młodzieży robotniczej, najlepszy dowód, że w roku bieżącym na 1 roku studiów w UL mamy 57 proc. ludzi pochodzenia robotniczego. Ale sprawa nie ogranicza się tylko do sprawności nauczania. Sprawa o wielkiej doniosłości są problemy wychowawcze. W tym celu musi być podjęty skoordynowany wysiłek wszystkich czynników: organizacji partyjnej, władz uczelni i organizacji młodzieżowych a wreszcie wszystkich władz szkolnictwa średniego oraz instytucji oświatowych.

Na tym tle należy rozpatrywać sprawy twórczości kulturalnej i jej upowszechnienia. Otóż w ciągu 24 lat Polski Ludowej nastąpił, mimo braków jakie jeszcze odczuwamy, znaczny wzrost poziomu wykształcenia warsiw robotniczych i w ogóle mieszkańców Łodzi. To sprawia, że rośnie liczba rzeczywistych i potencjalnych odbiorców kultury. Tym należy również tłumaczyć zwiększone potrzeby i wymagania. I nie dziwnego, że właśnie w Łodzi notujemy najwyższy w skali krajowej procent frekwencji w teatrach. Ale nie powinno nas to uspokajać. Wręcz przeciwnie: wiele trzeba jeszcze zrobić, aby repertuar naszych teatrów odpowiadał coraz wyższym wymaganiom społeczeństwa. Nie zadowolą nas rozmieszczenie instytucji kulturalnych w mieście. Jest to problem wcale nie bagatelny. Pamiętamy, że z wybudowanych dotąd 215 tysięcy nowych izb mieszkalnych, większość ich wybudowano na dalekich obrzeżach miasta. Ludziom w nich mieszkającym trzeba dać możliwość zaspokojenia przeżyć kulturalnych i artystycznych. W związku z tym nasze wysiłki idą w następujących kierunkach:

1) Rozbudowa instytucji kulturalnych w nowych osiedlach. Będzie to m. in. Dom Kultury przy nowo budujących się Zakładach Obuwia Gumowego na Teofilowie, Dom Kultury Zakładów im. Marchlewskiego, domy kultury i biblioteki budowane przez Radę Narodową.

2) Budowa dwóch nowych kin na Zubardzi i Dabrowie. Zresztą sprawy budowy instytucji kulturalnych mamy ujęte w konkretnym planie inwestycyjnym do r. 1975.

Mówi kierownik
Wydz. Propagandy KW PZPR
tow. Alfred Kusiak

Ziemie Łódzka na V Zjeździe PZPR reprezentować będzie 82 delegatów, w tym 15 wybranych bezpośrednio w dużych zakładach pracy.

Konferencja wojewódzka, dokonując oceny wyników toczącej się powszechnej i zaangażowanej dyskusji nad temi zjazdowymi, zamyka także 4-letni okres naszej działalności między zjazdami partii. Okres ten charakteryzował się wyjątkową i ofiarną pracą całego społeczeństwa nad zmianą oblicza społeczno-ekonomicznego naszego województwa. Uwidacznia się to w dynamicznym rozwoju przemysłu, rolnictwa, budownictwa i wszystkich pozostałych działów naszej gospodarki.

Przewaga rolnictwa, które dominowało na naszym terenie stopniowo się zmniejsza, a jednocześnie obok tradycyjnego już dla Ziemi Łódzkiej włókiennictwa, rozwinęły się nowe gałęzie przemysłu jak: metalurgia, elektrotechnika, przemysł chemiczny, górniczy, farmaceutyczny i materiałowy budowlanych. W latach 1964-1967 zainwestowano w przemysł naszego województwa ponad 20 miliardów złotych, tj. o 32 proc. więcej niż w poprzednich czterech latach.

Oddaliśmy w tym czasie do eksploatacji szereg nowych dużych zakładów przemysłowych i dzięki temu obecnie 50 proc. naszego przemysłu stanowią zakłady nowe, wyposażone w nowoczesne maszyny i urządzenia o wysokich parametrach technicznych, a 12 proc. potencjału przemysłowego stanowią zakłady całkowicie odbudowane, rozbudowane i zmodernizowane.

W wyniku tych zmian przemysł nasz zwiększył wartość produkcji globalnej o ponad 36 proc., a produkcja eksportowej o 37 procent. Średnie tempo rocznego wzrostu produkcji przemysłowej województwa jest wyższe od średniorocznego tempa w kraju. W latach 1961-65 ludność województwa

wzrosła o 52 tys. osób, w bieżącym 5-leciu szacowany wzrost ludności wyniesie 80 tys. osób. Zasoby siły roboczej w latach 1966-70 zwiększą się o dalsze 76,6 tys.

Wybudowanie dodatkowych zakładów produkcyjnych, lepsze wykorzystanie zdolności produkcyjnych w istniejących zakładach, rozwój przemysłu drobnego i chałupnictwa umożliwiły stworzenie w okresie lat 1964-67, 76 tys. nowych stanowisk pracy poza rolnictwem, z tego ponad 31 tys. w samym przemyśle.

W wyniku tego oraz wszechstronnego rozwoju województwa nastąpiła dalsza poprawa warunków bytowych ludności, co znajduje odbicie we wzroście globalnych jej dochodów, które z 15 miliardów zł w 1964 r. wzrosły do 21 miliardów zł w roku 1967.

W okresie międzyzjazdowym znaczny postęp osiągnęło rolnictwo naszego województwa. Roczne tempo jego rozwoju wynosi 4 proc., przy średniej krajowej 3 proc. Pozytywne rezultaty w okresie międzyzjazdami osiągnęli także w budownictwie, komunikacji, handlu i usługach. Wysiłek organizacji partyjnych, załóg przedsiębiorstw i instytucji produkcyjnych i usługowych można dziś mierzyć ponadplanową produkcją na rynek wewnętrzny i zagraniczny, cennymi zobowiązaniami produkcyjnymi, poprawą jakości i nowocześnieści produkowanych towarów, osiagnieniem lepszych wskaźników produkcyjno-ekonomicznych oraz wyższym poziomem organizacji pracy.

Pokłosiem przedzjazdowej kampanii i miarą politycznej aktywizacji województwa jest poważne ożywienie polityczne wśród członków partii i kandydatów, znaczny wzrost działalności stronnictw politycznych, organizacji związkowych i młodzieżowych oraz ogólny wzrost świadomości politycznej i społecznej. Efektem tej aktywizacji jest zgłoszenie ponad 8 tys. różnych wniosków, uwag i postulatów, a obok tego prawie miliardowy dorobek zobowiązań produkcyjnych i czynów zjazdowych, które do chwili obecnej w 80 proc. zostały już zrealizowane.

Wielkie przeobrażenia społeczno-gospodarcze Ziemi Łódzkiej, nowoczesny przemysł i ciągła modernizacja rolnictwa stworzyły niespotykane dotąd zapotrzebowanie na wysoko kwalifikowaną kadrę, toteż do szkół zawodowych i techników licealnego uczęszcza obecnie — dwukrotnie, a do szkół

zasadniczych — 4 razy więcej uczniów niż miało to miejsce w 1956 r. Otwarta szeroko droga awansu społecznego i powszechność oświaty sprawiły, że w województwie naszym, które przed wojną liczyło 30 proc. analfabetów — mamy dziś na każdy tysiąc dorosłych obywateli dziewięć osób z wykształceniem wyższym, pięć z półwyższym, dziesięć ze średnim, a około 20 dokształca się w uczelniach akademickich i szkołach licealnych. Osiągnięcie tych wskaźników możliwe było dzięki dużej trosce partii i państwa ludowego za stan oświaty i szkolnictwa.

W minionym 25-leciu wybudowaliśmy w naszym województwie ponad 400 szkół, w tym 67 pomników Tysiąclecia, a wskaźnik powszechności uczęszczania w zakresie szkoły podstawowej wynosi obecnie praktycznie 100 proc., zaś w szkołach powyżej podstawowej pobiera naukę ponad 80 proc. absolwentów szkół podstawowych.

Dziś zatem możemy z całą pewnością stwierdzić, że w żadnym innym okresie dziejów Polski nie uczyniono tak wiele, by stworzyć realną bazę dla rozwoju oświaty.

Kultura, którą rozwinięliśmy szeroko i którą upowszechniliśmy w Polsce Ludowej, jej olbrzymi dorobek duchowy i materialny zawdzięczany jest realizowaniu socjalistycznej koncepcji ustrojowej. Nasze województwo dzięki temu potrafiło szybko zlikwidować przedwojenne zaniedbania i usunąć straty poniesione podczas okupacji, a w niektórych dziedzinach wyprzedziło się na czole wielkie miejsce w kraju.

Stalemu podnoszeniu poziomu kulturalnego mieszkańców naszego regionu służy zorganizowana sieć kulturalno-oświatowych placówek: w tym 522 biblioteki publiczne, 200 bibliotek związkowych i spółdzielczych, a ilość punktów bibliotecznych wzrosła do 1.719. Uczęca się młodzież ma do dyspozycji 1.758 bibliotek szkolnych, zaś 18 bibliotek pedagogicznych posiada na użytek kadry nauczycielskiej około 200 tys. książek.

Poważnie wzrosła również sieć nowych domów kultury, kin, teatrów amatorskich, ognisk muzycznych.

Odbudowano całkowicie ze zniszczeń wojennych i oddano do użytku społeczne — z przeznaczeniem na szkoły, muzea i inne placówki upowszechniania kultury — 54



Ale tu znowu musimy powrócić do zagadnienia kadr, oczywiście w dziedzinie twórczości i działalności kulturalnej. Nie ulega kwestii, że mamy coraz liczniejsze środowiska pisarzy, plastyków, muzyków itp. Obserwujemy wzrost tych środowisk, zasillanych przez młode talenty. Podejmują one wiele ciekawych inicjatyw o dużym społecznym zaangażowaniu (np. Ogólnopolski Festiwal Poezji, liczne wystawy plastyczne, konkursy muzyczne na nowe pieśni itd., itp.). Dysponujemy nieźle rozbudowanym średnim i wyższym szkolnictwem artystycznym, próbujemy uporządkować trudne sprawy w Wyższej Szkole Filmowej i Teatralnej.

No cóż, myślę, że trzeba położyć większy nacisk na sprawy wychowania ideowo-politycznego, albowiem, jak wiadomo, sprawy kultury wiążą się nierozdzielnie z ideologią. Chciałbym przy tej sposobności powiedzieć kilka słów o pracownikach szerokiego frontu upowszechniania kultury. Obserwujemy w tej dziedzinie duże zaangażowanie i ofiarność. Łódź znajduje się w czółwiec kraju, jeśli idzie o ruch amatorski i rozwój bibliotek. Pracownikom tym należy się większa uwaga i pomoc ze strony środowisk twórczych. Możliwości rozwoju i działalności kulturalnej.

Łódzka organizacja partyjna jedzie na V Zjazd w stanie pełnej mobilizacji swoich sił, a jej dalszy rozwój i aktywizacja zależy w niemalym stopniu od stałej i nie słabnącej prężności organizacji partyjnych, i w ogóle wszystkich ludzi pracy w naszym mieście.

budynki zabytkowe, w tym wiele obiektów o wybitnych walorach historycznych i artystycznych, np. gmach muzeum w Łowiczu, zamek gotycki w Uniejowie, zamek w Łęczycy, Oporowia, pałac w Podgubicach i wiele innych. W rezultacie tego obecnie mamy na Ziemi Łódzkiej 10 muzeów. Dzięki swej pracy oświatowej, popularyzatorskiej i naukowo-badawczej stały się one dziś środkami studiów i wiedzy o poszczególnych regionach.

Rezultatem opieki państwa i osiągnięciem na dużą skalę jest żywy ruch i osiągnięcia ludowych artystów oraz organizacja imprez folklorystycznych: festiwa, kapel ludowych, zespołów pieśni i tańca, przeglądu gwiazd, zespołów tanecznych i piosenkarzy oraz dni folkloru. Dzieła naszych ludowych twórców znane są nie tylko w Polsce, ale i poza granicami kraju.

Piękną inicjatywą, godną naśladowania, są także coroczne plenery malarskie organizowane przez Wydział Kultury WRN, Wojewódzka Komisję Związków Zawodowych, oraz Związek Polskich Artystów Plastyków w Łodzi.

Odzwierciedlenie prowadzonej działalności oświatowo-kulturalnej znajduje swój wyraz również w kształtowaniu się czytelnictwa, akcji odczytowej, rozwoju kursów obcojęzycznych itd.

Wszechstronna działalność naszej partii w okresie międzyzjazdowym wpłynęła również na poprawę stylu i metod pracy wewnątrzpartyjnej.

Wojewódzka organizacja partyjna rozszerzyła znacznie swe oddziaływanie na całe społeczeństwo. Dziś można już stwierdzić, że do V Zjazdu organizacja partyjna osiągnęła liczbę 100 tys. członków i kandydatów.

Niespotykany w innych okresach masowy napływ kandydatów do partii, szczególnie ze środowiska robotniczego i chłopskiego jest efektem szerokiej popularyzacji tej zjazdowych wśród społeczeństwa Ziemi Łódzkiej, jest świadectwem poparcia jakie mieszkańcy miast i wsi udzielają kierownictwu naszej partii.

Druga noc listopadowa

Pierwsza wojna światowa oraz jej finał sprzed 50 lat miały dla Łodzi nie tylko to znaczenie, które wynika z faktu uzyskania przez Polskę niepodległości. Jeżeli wojna jest zawsze zjawiskiem niszczącym, to tylko w Łodzi, mieście paradoksu mogła ona właśnie prawem paradoksu stworzyć pewną wartość. Wartością tą był samorząd, który zrodził się w sposób dziwaczny, ale w łódzkich dziejach lat 1914—1918 odegrał doniosłą rolę.

Do wybuchu pierwszej wojny burmistrz i prezydenci łódzcy rzadzi miastem sami, co najwyżej korzystając czasem z pomocy mianowanych rajców. Toteż kiedy w dniu 1 sierpnia 1914 roku została ogłoszona mobilizacja, grono łódzkich patriotów przewidywało, że w wyniku ucieczki władz zabórczych powstanie anarchia, której następstwa mogą się okazać tragiczne. Obawy te były usprawiedliwione sytuacją w mieście.

Mnóstwo ludzi opuszczało wtedy Łódź, powstało więc nieznanie do owego czasu zjawisko „korków” ulicznych, tyle że to nie samochody a furmanki i wózki ręczne zapelniały ulice. A na wozach chybotały się sterty togi, co było potrzebne, często zaś w zdenerwowaniu pakowano zupełnie zbędne graty. Np. z gimnazjum przy ulicy Mikołajewskiej (dziś Liceum nr III im. T. Kościuszki przy ul. Sienkiewicza) ewakuowano stopy starych zeszytów, a wraz z nimi — jak mówiono — 2 miliony ortograficznych błędów. Zandarmeria paliła archiwa w fabrycznej kotłowni, a monopol spirytusowy wypuścił posiadane zapasy do rynsztoków. Kto żył rzucił się z kubkami po zaprawioną wprawdzie nieco, ale przecież darmową wodkę. Naczelnik garnizonu uprzejmie poinformował społeczeństwo, że „głównodowodzący armią rozkazał słumić wszelkiego rodzaju nieporządkom ogniem i mieczem bez litości”. Natomiast car Mikołaj wyciągnął ku nam ręce z dalekiego Petersburga i przemówił ze wstrząsem w głosie: „Niechaj się zetrą granice dzielące na części naród polski. Niechaj naród polski połączy się w jedno ciało pod berłem cesarza rosyjskiego. Pod tym berłem odrodzi się Polska swobodna w swojej wierze, języku, samorządzie”.

W ten sposób na tle zamętu i popłochu pojawiła się organizacja, będąca — jak się następnie okazało — embriemem pierwszego łódzkiego samorządu. Mianowicie w prasie ówczesnej wydrukowano następującą odezwę do obywateli:

„Grono obywateli w ciężkich warunkach, jakie w wyjątkowych okolicznościach miasto nasze przeżywa, tworzy przy miejscowej ochotniczej straży ogniowej organizację w celu współdziałania z władzami w utrzymaniu wśród obywateli spokoju i bezpieczeństwa.

Organizacja ta w razie ewentualnych komplikacji (podkr. moje J.U.) spełniać będzie nadal swoje obowiązki, skierowane ku utrzymaniu w mieście porządku. Wobec tego ogół mieszkańców powinien zachować się spokojnie, nie denerwować się, nie szerzyć wśród współobywateli popłochu, porządek bowiem i ład są na wszelki wypadek zagwarantowane”.

„Ewentualne komplikacje” oraz „wszelki wypadek” to oczywiście interregnum będące następstwem ucieczki władz rosyjskich. A te uciekały i wracały, nigdy nie było wiadomo, czy odchodzą lub wracają na stałe, więc owa organizacja przybrała ostrożną nazwę Komitetu Obywatelskiego Niesienia Pomocy Biednym. I rzeczywiście pomoc dla biednych była bodaj najważniejszą sprawą, bowiem z miejsca rozpanoszyło się paskarstwo czyli spekulacja żywnością, dotkliwie odczuwana przez szerokie rzesze łodzian.

10 sierpnia Komitet Obywatelski stał się nagle jedyną władzą w mieście. A doszło do tego w ten sposób, że 40 pułk Nięgródzki Dragonów zdobył kilka niemieckich „pickelhaub” i dragoni wystroili się w nie dla śmiechu. Kiedy ich z daleka zobaczył wójt z Luźmierz, wysłał do Łodzi wiadomość o zbliżaniu się Niemców. Administracja i policja carska czmychnęły i w ciągu trzech dni Komitet był jedyną władzą w tym mieście. Po tym czasie wrócił gubernator Jacewski z policją — jak mówiono w mieście — po to, by zainkasować zaległe łapówki.

Parokrotnie miasto nasze zajmowali kolejno Rosjanie i Niemcy, aż ci ostatni osiedlili tu do końca wojny w następstwie wydarzenia zwanego „bitwą łódzką”. Trwała ona od 19 listopada do 6 grudnia 1914 roku. Dla tych łodzian, którzy nie opuścili miasta, były to tygodnie pożarów, pękających szrapneli, głodu i grabieży. Na pobojowiskach można było znaleźć trupy zastygłe na mrozie.

6 grudnia Rosjan w mieście nie było, a Niemcy jeszcze szeszelali. Wówczas łodzianie, w osobie ks. Merklejna wywiesili na kościele Najświętym Marii Panny białą flagę. Byli tym trzecim między dwoma bijącymi się i zdaje się rola wywieszającej białą flagę była dla nas najbardziej korzystna.

Oficjalną władzę w mieście sprawował najpierw gen. Gerecke, hakatyista, bezwzględny okupant, zabierający mieszkańcom wszystko co się dało, do sienników włącznie. Dla niego istnienie Komitetu Obywatelskiego było bardzo wygodne, miał bowiem w ten sposób organ, do którego mógł zgłaszać wszystkie swoje żądania. Ale jednocześnie było to uznanie Komitetu za reprezentację Łodzi. Kiedy po dwóch miesiącach Gerecke ustąpił, jego następcą, Pöhlizer-präsident, von Oppen zażądał, by Komitet Obywatelski wziął udział w wyborach połączonym i wyraził hakatycznie serdeczną wdzięczność za łódzkie poczynania. Wyciągając właściwe wnioski z faktu, że obowiązywał stan wojenny, przewodniczący Komitetu, Antoni Stamirowski na uroczystość przyszedł, ale przemówienie jego było majstersztykiem zdawkowości, z którego wściekły Gerecke nie potrafił wyłowić ani jednego słowa uznania.

Nadburmistrzem Łodzi został Niemiec o groteskowo w tych warunkach brzmiącym nazwisku: Schoppen.

Zapomniany dziś Antoni Stamirowski powiedział wtedy — zdawać by się mogło — beznadziejna walka o taki taki był ludności, o polską szkołę, o polskość i autonomizm Komitetu Obywatelskiego. Był chyba nieprześcignalnym indywidualnością, skoro wespół z innymi członkami Komitetu a wbrew zapedom von Oppena realizował postawione sobie cele.

Komitet Obywatelski został rozwiązany w połowie 1915 roku, w następstwie powołania do życia Rady Miejskiej i Magistratu. Nosiło to cechy uwłaszczenia łodzian siłą. Von Oppen do prostu wyznaczył burmistrzem Schoppena, jego zastępcą mianował fabrykanta Leonhardta, powołał ponadto 9 ławników, po trzech: Polaków, Żydów i Niemców. Wymówienie się od tego zaszczytu groziło karą w wysokości stu tysięcy marek i zesłaniem do obozu jeńców. Mimo to, dwaj przedstawiciele polskiego społeczeństwa, mianowicie Groszkowski i Wolczyński woleli raczej ponieść kary, niż zostac marionetkami władz miejskich. W ten sposób zapisali się na listę swoich bohaterów

tego miasta. Jeżeli później z niej wypadli to dlatego, że zbyt suto opłacili im się to bo haterstwo w okresie międzywojennym.

Choć Komitet Obywatelski został rozwiązany, należało jednak pozostać za żalążek samorządu łódzkiego, a to dlatego, że Komitet prowadząc szeroka działalność administracyjną, powołał do życia cały szereg instytucji takich jak szkolnictwo, finans, ubezpieczenie publiczne i inne, które rozwiązując się, zdał nominowanemu Magistratowi jako gotowe wydziały. Magistrat ten działał nieco dłużej niż rok, bowiem po akcie piątego listopada 1916 roku proklamującym tzw. „niepodległość Królestwa Polskiego” została wydana „ordynacja wyborcza dla miast General-Gubernatorstwa Warszawskiego”, w następstwie której odbyły się pierwsze wybory do samorządu łódzkiego (pomijam tu wybory z czasów Wielopolskiego, nie miały bowiem większego znaczenia). Odbyły się w oparciu o przedziwną ordynację wyborczą tzw. kurialną. Przewidywała ona podział mieszkańców na kurie. Do pierwszej z nich należeli, inteligenci, tzn. ludzie mający za sobą studia wyższe oraz nauczyciele. W kurii drugiej głosowali przemysłowcy, w trzeciej rzemieślnicy i właściciele drobnych przedsiębiorstw itd. Skutkiem takiego podziału jeden radny wybierany był przez 57 przemysłowców, lub przez 1766 robotników.

W chwili ogłoszenia wyborów rozgorzała namiętna walka polityczna. Jak grzyby po deszczu rodziły się partie polityczne i to nie tylko wśród polskiej części społeczeństwa. Polacy zorganizowali się głównie w Polskim Centralnym Komitecie Demokratycznym mającym opinie germanofilskie oraz w Polskim Komitecie Wyborczym, związanym z Narodową Demokracją. Niemcy dzielili się na „Łodzer” tych gospodarzy i uczuciowo związanych z miastem oraz szwajniców. Żydzi deklarowali się jako Żydzi — Polacy, a wiec jakbyśmy to dziś powiedzieli: Polacy pochodzenia żydowskiego, druga zaś grupa nazywano Litwakami, byli to raczej żydowskie szwajnicze wychowani na wzorach kultury rosyjsko-żydowskiej.

Tak wyglądało tło narodowościowe Łodzi w trzecim roku wojny. A był to w przybliżeniu setny rok istnienia Łodzi przemysłowej. To miasto zrodzone pod zaborem rosyjskim, przez wiek stwarzające dogodne warunki zagranicznym kolonistom, cierpiące aktualnie ucisk niemieckiej okupacji, wypowiedziało się na wyborach za polskością, pomimo niekorzystnej ordynacji wyborczej. Mandaty radnych uzyskało 27 Polaków, 27 Żydów i 8 Niemców. Najwięcej głosów zebrali Polacy w kurii VI, do której należeli głównie robotnicy, gdzie trzeba było aż 1766 głosów na jeden mandat. Koło Polskie wywalczyło sobie najważniejsze stanowiska w Radzie i prawo przemawiania po polsku. Radni, kontynuując działalność Komitetu Obywatelskiego, z dużą odwagą zdobywali od okupanta żywność dla miasta zgłaszali ostre protesty wobec zachłanności niemieckiej oraz nadużyć i ten pierwszy zespół oficjalnie administracji Łodzi w trudnych warunkach okupacyjnych ucisku był znakomitą szkołą samorządu, której wpływ sięgnął w lata o wiele późniejsze. Burmistrzem, a następnie nadburmistrzem, został inż. Leopold Skulski i urządził ten w jego osobie przeobraził do uzyskania niepodległości.

I oto dochodzimy do wydarzeń dzielących się równo 50 lat temu, w których samorząd łódzki, choć zrodzony w tak niezwykły sposób odegrał rolę zasadniczą.

Nazajutrz po proklamowaniu przez Rząd w Lublinie Polskiej Republiki Ludowej (8 listopada 1918 roku) zaczęły się przed Grand Hotelem w Łodzi demonstracje antyniemieckie; próba interwencji dokonana przez policje niemiecką, tzw. „palkarzy” zawiodła na całej linii, tłum bowiem miał przewagę i policjantów rozbroił. 10 listopada na wiadomość o rewolucji w Berlinie, zbuntowały się wojska niemieckie, stacjonujące w Łodzi i utworzyły Radę Żołnierską,

jednocześnie ludność poczęła rozbrajać Niemców. 11 listopada po raz ostatni przyszedł uwieczniony przez Remarque'a komunikat: „Na zachodzie bez zmian”.

Z butnych Niemców wylazła cała nikczemna natura i podczas rozbrajania ich dawali nie lada dowody tchórzostwa i małoduszności. Dopiero pod wieczór 11 listopada w serach niektórych żołnierzy Wehrmachtu odczuwał się żal za utraconym miastem i spróbowali oporu na Nowym Rynku. Tam zginęły wtedy trzy osoby i trzy w innych punktach miasta. Zabito też jednego żołnierza niemieckiego. W nocy zaś z 11 na 12 listopada burmistrz Skulski przyjął od niemieckiej Rady Żołnierskiej kapitulację, której dokument miał następujące brzmienie:

„Delegaci Rady Żołnierskiej wojsk niemieckich garnizonu łódzkiego oraz przedstawiciele organizacji wojskowych polskich na posiedzeniu odbytym w nocy z dnia 11 na 12 listopada 1918 r. pod przewodnictwem pierwszego burmistrza m. Łodzi Leopolda Skulskiego zawarli następującą umowę:

- Ustają natychmiast na terenie m. Łodzi wszelkie działania wojenne.
- Do rana pozostają wszystkie oddziały niemieckie na tych miejscach, gdzie znajdują się w chwili obecnej i w ciągu ranka dnia jutrzejszego wycofują się do koszar na ulicy Konstantynowskiej.
- Garnizon łódzki opuści miasto Łódź, gdy tylko dostarczono mu będąc pociągi i uda się do granicy niemieckiej.
- Organizacje wojskowe polskie dołożą ze swej strony starań, by zapewnić niemieckiemu garnizonowi łódzkiemu spokojny odejazd do granicy niemieckiej.
- Garnizon niemiecki obowiązuje się wydać organizacjom wojskowym polskim wszelką nadliczbę i zapasowa broń i amunicję, z zapasów żywności zabrać tylko tyle, ile na drogę do granicy niemieckiej będzie potrzebne”.

Niewątpliwie była to kapitulacja honorowa, przewidująca dla strony niemieckiej warunki korzystne. Niemniej była to kapitulacja i to jedyna, jaka to miasto ozdobiło symbolami pracy, a nie walki kiedykolwiek od wroga przyjęło. Istnienie podobnego dokumentu nie było w smak Niemcom łódzkim, ani tym w Rzeczy. Toteż nikt nie zdziwił fakt, że wkrótce po uzyskaniu niepodległości akt powyższy zaginęł, zapewne wykradzony za marki niemieckie.

Niewątpliwie momentem pomysłowym dla Łodzi było istnienie w okresie przejściowym samorządu. Miało to tym większe znaczenie, że radcy od samego początku brali się za by z pełnym zapasem staropolskiego warchołstwa, samorząd wiec, działając nad partiami, prowadził prace konstruktywne.

W grudniu 1918 roku ówczesny prezes Rady Ministrów, Jędrzej Moraczewski, mianował komisarzem rządowym Łodzi — Aleksę Rzewalskim, który następnie został pierwszym powojennym prezydentem Łodzi z wyboru.

Tak wyglądają wydarzenia, które 50 lat temu zapoczątkowały nową epokę w dziejach Łodzi. Była to epoka inna w stosunku do dotychczasowych jej dzieł, choć też bardzo trudna. Niemcy ogołocili miasto tatek dalece, że w pierwszych powojennych latach przemysł był prawie niezdolny do pracy. Kiedy nawet po pewnym czasie ruszył, istniała dysproporcja pomiędzy bogactwem tego co kryły fabryki, a ubóstwem miasta, w którym fabryki te dymyły.

Do władzy dochodzili ludzie różni i różne ugrupowania. Byli mądry i ofiarni jak na przykład wspomniany Aleksy Rzewalski, czy sędziwy dziś Stanisław Rapalski. Ale rozdali też tym miastem ludzie, stanowiący symbol tego, co w okresie sanacji było najgorsze, że w mieniu komisarzycznych prezydentów Gładka i Godlewskiego. Owo dwudziestolecie międzywojnia to w samorządzie łódzkim nie kończą się walki pomiędzy siłami postępowymi, a wstępnymi, która ustała w jakimś stopniu chyba dopiero w roku 1939, w obliczu wielkich wydarzeń, których tragizmu nikt nie przeczuwał.

Komunistą ZNACZY Czułowiek

Dalszy ciąg ze str. 1

by już od dawna myślał tylko o tym, żeby poznać swego rozmówcę, pogadać, a jeśli potrzeba, poprzeczyc się.

Ze mną poprzeczyc się już do pierwszych słowach.

— Nie — mówił on — popełniać wielki bład. Cały czas wychwalacie tego waszego Whitmana za to, że jakoby jest poetą demokracji. Ale co to jest demokracja? Mieszczanstwo! Sprytny parawan dla oszukania robotników, Republika drobnych posiadaczy! Nie, Whitman...

Postanowiliśmy, że ządę do niego po kilku dniach, aby zakończyć nasz spór. Zakończył się tym, że ponosiłem Anatolija Wasiliewicza, aby napisał do nowego wydania mojej książki o Whitmanie chociaż niewielki artykuł, Anatolij Wasiliewicz zgodził się chętnie, bez jakiegokolwiek mi-

misteriałnych wykretów, nie oponując przeciwko temu, żeby właśnie tutaj, na sąsiednich stronicach, amerykański poeta został potraktowany zupełnie inaczej, nie w tej blaszczynie, która reprezentował sam Lunaczarski.

— Artykuł będzie gotowy pojutrze. — Nie wiadomo dlaczego zerkał na zegarek. — Pojutrze, około czwartej.

Wiedziałem, że pracuje niemal dwadzieścia godzin na dobę, często zapomina o jedzeniu, niedosypia przez całe tygodnie. Posiedzenia, przyjmowanie interesantów, wykłady, wystąpienia na mitingach (nie tylko w Leningradzie, ale także w Kronsztadzie i w Siestroiecku, i, o ile pamiętam, jeszcze gdzieś) pochłaniały cały jego czas. Dlatego, przechodząc do niego o umówionej porze, byłem przekonany, że artykuł jeszcze nie ma. Ale spoza drzwi jego pokoju niósł się stukot maszyny i po znanych słowach, które mnie doleciały („promieniowanie ducha”, „ekonomiczna architektura”, „swoista nuta w jednolitej symfonii”) zrozumiałem, że Anatolij Wasiliewicz dyktuje właśnie ten artykuł. Dyktował nieustannie i z szybkością, która wywołała u mnie profesjonalną zazdrość.

Artykuł zostałby ukofonony już wtedy, ale do pokoju wchodził wciąż nowi ludzie.

Do Anatolija Wasiliewicza przychodziło szczególnie wielu fantastów, maniaków, szalibierzy przekładając fantastyczne plany najszybszego, momentalnego przeobrażenia ubogiej Rosji w krainę niewyczerpanej szczęścia. Pewien znakomity starzec uporczywie żądał, aby Lunaczarski wydał dekret o wprowadzeniu w Rosji wielożeństwa.

— Na podstawie długiego, osobistego doświadczenia — dowodził znakomity starzec

— mogę was zapewnić, że wielożeństwo jest najlepsza forma małżeństwa, najlepiej odpowiadająca warunkom rosyjskiego bytu. Wprowadźcie wielożeństwo, a uszczęśliwicie miliony ludzi!

Ten idiotyczny projekt był opracowany do najdrobniejszych szczegółów i chociaż, czytając go, Anatolij Wasiliewicz chichotał z całej duszy (zawsze żywo czuł humor rzeczy i sytuacji), odpowiedział autorowi projektu z głęboką powagą, naukowo wykazując mu całkowitą niesłowność podobnych utopii w kraju, który wstępuje na drogę socjalizmu.

W ogóle uważnie wysłuchiwał każdego, i jeśli w słowach interesanta znajdował choć odrobinkę słuszności, maszynista za każdym razem musiał wyjmować z maszyny niedokończony artykuł o Whitmanie i błyskawicznie pisać pod dyktando Anatolija Wasiliewicza administracyjne rozporządzenia, zlecenia, nakazy i prośby, które natychmiast, bez dalszych roztrząsań, podpisywał. Ale gdy tylko ci ludzie odstępowali, maszynista znowu wkręcał kartkę z artykułem i Anatolij Wasiliewicz kontynuował dyktowanie, od tego samego słowa, na którym przerwał, w tym samym rytmie, z tą samą intonacją.

Maszynista skarżyła się, że w ostatnich dniach może on tylko w ten sposób pisać dla prasy: z przerwami, podczas których wielkie, ideowe tematy są wypierane przez drobne, życiowe sprawy.

Ale było widoczne, że dla niego nie jest to ani trochę uciążliwe. Na tym właśnie polegała specyfika jego ówczesnej pracy (w 1918 r. w Piotrogrodzie), że na równi z rozstrzyganiem wielkich problemów o państwowym, a nawet światowym znaczeniu, musiał w tym czasie decydować w wielu drobniejszych sprawach

w rodzaju zdobycia mroźnych żurawin dla przytulku starych aktorek, albo znalezienia onuc dla domu dziecka na Ochcie.

Głodnie i chłodnie życie przeoranego wojną kraju wielokrotnie zmuszało Anatolija Wasiliewicza do nieustannego mieszanina spraw wielkich i drobnych, a ponieważ za wszystkimi, nawet mikroskopijnie małymi jego kłopotami i troskami stał zawsze gigantyczny cel: umocnić zdobywcę Października, tak czy inaczej przyczynić się do powstania i rozwoju nowej, jeszcze nie istniejącej radzieckiej kultury — chętnie poświęcał on swoje siły na wszelkie, pow szednie drobnostki widząc i w nich wypełnianie tego zadania.

II

Lunaczarski, jako przedstawiciel władzy państwowej, wymagał od siebie czynnej i serdecznej sympatii do ludzi sztuki i twórczej myśli. Bardzo wyraźnie wypowiedział to w artykule poświęconym pamięci Majakowskiego. Mówiąc o śmierci poety uczynił takie wyznaczenie:

„Nie wszyscy jesteśmy podobni do Marksa, który mówił, że pocci potrzebują wielkiej taskawości. Nie wszyscy to rozumiemy i nie wszyscy zrozumieli, że ogromnej taskawości potrzebuje Majakowski.”

Tę taskawość okazywał Majakowskiemu niemal od pierwszych dni Października: był jego heroldem, obrońcą, komentatorem, przyjacięlem. W 1918 roku widziałem ich niejednokrotnie razem.

Na pierwszy rzut oka komus, prawdopodobnie, mogło wydawać się, że Majakowski nie jest „w lasce” ani odrobni. Manifestował młodzieńczy czupurność, prawie niezależność i potrzebna była cała subtelność Lunaczarskiego, żeby za tą

Idea niepodległości w literaturze polskiej

Dalszy ciąg ze str. 1

międzynarodowa „Trybuna Ludów” w Paryżu i kiedy ogłaszał swój „Skład zasad”, tworząc wojsko polskie nowego typu (rekrutowane z przedstawicieli narodowości uciskanych) w obozie pod Bargas.

Po roku 1905 nie można już było mówić poważnie o problemie odzyskania niepodległości, nie uwzględniając tych faktów wrosłych w świadomość szerokich mas chłopko-robotniczych. Postępowa warstwa mieszczaństwa oraz inteligencji zdawały sobie dobrze sprawę, że dotychczasowa wizja niepodległości bezprzymiotnikowej jest anachronizmem, że model dawnej Polski jest kategorią już tylko historyczną, co sprostował jeszcze Słowacki, pytając: „Polska? Ale jaka?”.

Taka, której podstawowa warstwa narodu będzie w niej rządzić i która będzie ją łączyć z innymi narodami, a nie dzielić, jak to było dotychczas. I wolność takiej Polski będzie już interesem nie tylko jej samej, ale również interesem żywotnym innych narodów. Już Mickiewicz w „Księgach pielgrzymstwa i narodu polskiego” zauważył, że najskuteczniej broni się wolności własnej, broniąc także cudzej. To Joachim Lelewel podczas Powstania Listopadowego, w którym brali udział także chłopcy, o czym zaświadczył Kazimierz Deczyński, rzucił hasło: „Za naszą wolność i waszą”, które odtąd stało się zawołaniem wszystkich zrywów orężnych naszego narodu, wypisanym na jego bojowych sztandarach, a które zawiera treść zarówno patriotyczną, jak socjalną i międzynarodową. Powstanie styczniowe miało już wśród swoich szeregów białych i czerwonych, a Karol Marks, gorący jego orędownik, zauważył potem, że było ono zapowiedzią Komuny Paryskiej, choćby przez wspólnotę pownych związków personalnych w postaciach Jarosława Dąbrowskiego i Walerego Wróblewskiego, nie mówiąc już o podstawowej wspólnocie elementu socjalnego. Po tym fakcie nie było już możliwe w Polsce żadne powstanie, które nie miało by takiego właśnie charakteru. Jakoż rok 1905 potwierdził to w całej pełni. Był kolejnym polskim powstaniem, ale jakośślowo różnym od wszystkich dotychczasowych, gdyż dominował w nim akcent socjalny, który niósł w sobie realne możliwości rozwiązania również i problemu niepodległości w perspektywie przemian ogólnoludzkich. Stało się to, co przepowiedzieli w swoich pismach Marks i Engels: narodowa sprawa Polski przerosła w problem międzynarodowy. Nicco wcześniej od nich wyraził to Norwid w formie patriotycznego nakazu do rodaków: aby być narodowym, trzeba być nadnarodowym. Zawiera się w tym prawda, że istotnym sensem patriotyzmu jest internacjonalizm, że patriotyzm pozbawiony tego pierwiastka jest zjawiskiem wstecznym, zwanym odtąd nacjonalizmem. Nacjonalizm tym się różni od patriotyzmu, czym kosmopolityzm od internacjonalizmu.

Pojęcie internacjonalizmu nie jest przeciwstawne pojęciu patriotyzmu. Pojęciem przeciwstawnym zarówno dla internacjonalizmu jak i patriotyzmu jest kosmopolityzm i nacjo-

nalizm. Bo gdy internacjonalizm wspiera patriotyzm i w zgodnym z nim współdziałaniu poręcza pokój, to kosmopolityzm wznaga nacjonalizm i w jątrzącym z nim antagonizmem ewokuje wojnę. Tak zostały zrozumiane te pojęcia z długiego rejestru ich przyczyn i skutków. Przynajmniej w praktyce i doświadczeniu polskiej historii, to znaczy polskiej ideologii postepowej, filozofii, polityki, nauki, sztuki i przede wszystkim literatury pięknej.

Przeświadczenie, że sprawy polskie są nierozdzielnie związane ze sprawami innych narodów, tak wyraźnie uwydatnione po roku 1905, w literaturze polskiej znajdowało przykłady bardzo liczne i dowodzące ogólnoludzkiego jej charakteru. Pewien uniwersalizm w widzeniu i traktowaniu spraw własnych leżał zresztą w tradycji obyczajowej naszej literatury. Kochanowski w „Odprowie posłów greckich” mówi o Troi, myślał o Polsce. Krasicki w „Irydionie” mówi o świecie starożytnym, myślał o świecie sobie współczesnym, a w jego kontekście i o sprawie polskiej. W sposób bezpośredni wyraził to Słowacki: nie co ludzkie nie może być obce literaturze narodowej. Tematyce najlepiej zrealizuje ten program Cyprian Norwid, pisząc o sprawach i bohaterach pozornie obcych w takich utworach jak „Adam Kraft”, „Marquis de Boissy”, „Do Emira Abdel-Kadera w Damaszku”, „Do obywatela Johna Browna”, „Do władcy Rzymu”, „Vendome”, „Balzariusz”, „Kwidam”, „Assunta”, „Stygmat”, „Kleopatry”, „Za kulami”. We wszystkich tych utworach jest myśl o Polsce, mimo, że nie ma o niej mowy. Zaś w utworach na tematy polskie zaw sze podkreślał ogólnoludzkie czy międzynarodowe w nich elementy, jak na przykład w utworze „Wanda”, „Krakus”, „Zwolon”, „Do Nikodema Biernackiego”, „Na zgon ś.p. Jana Gajewskiego”, „Fortepian Szopena” czy „Bema pamięci żałobny rapsod”. Jego początek brzmi:

*Czemu, Cieniu, odjeżdżasz, ręce
złamawszy na pancerz,
Przy pochodniach, co skrami grają
około twych kolan?
Miecz wawrzynem zielony gromnic
plakaniem dziś polan,
Rwie się sokół i koń twój
podrywa stopę jak tancerz.*

Stefan Żeromski powie o nim: „W tym rapsodzie, uzbrojonym w tak niezrównane onomatopeje, tężniący, połyskliwy, szelestny i dzwonnym od kopyt rumaka i chrzęstu oręża — jest wszystka tęsknota polska za bohaterem, wodzem, władcą orężem, walką i zwycięstwem. Utwór ten jest obrazem duszy zbiorowej, niemal dokumentem politycznym”. Żeromski powiedział w tych słowach wiele, ale nie wszystko. Nie zwrócił uwagi na ogólnoludzki, nie tylko polski, charakter bohaterstwa Bema i na to, że ten „dokument polityczny” nosi stempel nie tylko polski, ale i międzynarodowy, co wynika jasno z V, a zwłaszcza VI strofy utworu, która brzmi:

*I powleczem korowód, smęcąc
ujętę snem grody,
W bramy bijąc urnami, gwizdając
w szczyby toporów,
Aż się mury Jerjcha porozwalają
jak kłody,
Serca zemdlale ocuca, pleśń z oczu
zgnarą narody.*

„Mury Jerjcha” to zastygłe w swych bastionach obronnych potęgi starych ustrojów społecznych oparty na fundamentach przemocy i ucisku.

Wydała mi się, że obojętność, z jaką społeczeństwo nasze powitało w sierpniu 1914 roku pierwsze oddziały legionowe wyruszające śladem tradycji powstańczych w bój o niepodległość, wypływała nie tylko z faktu, że oddziały te formowały się o boku jednego z najeźdźców, co było bez precedensu w dotychczasowej historii powstań polskich, ale z faktu, że hasła tych

oddziałów nie głosiły niczego więcej, prócz odzyskania niepodległości. To było dużo, ale o wiele za mało, jak na zamiar wyzwolenicy po doświadczeniach roku 1905. Legionowy poeta, Edward Słoński, pisał przejmująco:

*Bo wciąż na jawie widzę
i co noc mi się śni,
że TA, CO NIE ZGINEŁA,
wyrośnie z naszej krwi.*

„Ta, co nie zginęła” — dobrze — ale jaka? Zapomniano o pytaniu Słowackiego, chociaż był on ulubionym wieszczem legionowym. Inny poeta legionowy, Jerzy Żuławski, wołał patetycznie do swych synów:

*Synkowie moi, poszedłem w bój,
Tak jak wasz dziadek, a ojciec
mój,
Jak ojca ojciec i ojca dziad,
Co z legionami przemierzył
świat...*

Z legionami Henryka Dąbrowskiego oczywiście. Była to więc idea piękna, ale już anachroniczna wskutek braku socjalnego ognia, łączącego ją z dążeniami szerokich mas, jako głównej siły historycznej. Dlatego w hymnie legionistów „My, pierwsza brygada” znalazły się takie pełne gorczy zdania doskonale oddające ich wyobcowanie społeczne:

*Mówił, żeśmy stumanteni,
Nie wierząc nam, że chcicie to
móc,*

W literaturze polskiej międzywojennego dwudziestolecia pełno uwagi i komentarzy na temat naszej odzyskanej, lecz niepełnej i niepewnej, bo bez rozwiązania kwestii socjalnej, niepodległości narodowej. Takie dzieła, jak „Przedwiośnie” Żeromskiego, „Odnaka za wierną służbę” Struga, „Generał Barcz” Kadena-Bandrowskiego czy wreszcie „W polu” Stanisława Rembeka, mówią wiele o uwarunkowaniach wojska polskiego w ówczesnych akcjach bojowych o niepodległość ojczyzny. Ich tragiczne bohaterstwo znalazło odbicie w ostatnich pogłoskach wrześniowego dramatu naszej ojczyzny, zanotowane w najwybitniejszych utworach literatury wojennej: „Wrześniu” Jerzego Putramenta i „Dniach kłęski” Wojciecha Żukrowskiego, nie łącząc szeregu znakomych wierszy i poematów.

Dopiero Ludowe Wojsko Polskie, dziedzicząc najpiękniejsze tradycje wojsk polskich w przeszłości, powstań niepodległościowych i ruchów rewolucyjnych najszerzych mas społecznych, stało się pełnym wykładnikiem suwerennego bytu narodu. O tym już mówił każdy niemal twór literatury naszej ostatniego dwudziestopięcioletnia. Jeśli nie wprost, to w przenośni. Bo przecież każdy z obywateli obecnej Polski, a więc i pisarz był, jest albo będzie żołnierzem. I cząstka tego doświadczenia lub co najmniej świadomości odbija się chęć nie chęć w jego dziele, które jest zwierciadłem mniej lub więcej wiernym jego życia i tego co go otacza.

Sądząc z niezmiernie bogatej w nieprzewidziane przypadki historii naszego narodu, można dojść do wniosku, że może on istnieć i nawet rozwijać się przez czas dłuższy bez wojska, czego dowodem okres naszej przeszłości wielkiej niewoli, w której od zagłady bronili nas nie sily zbrojne, a sztuka i literatura w uosobieniach takich, jak Mickiewicz, Szopen i Matejko. Ale przecież treść duchowa narodu, kultura narodowa wyrasta z jego substancji biologicznej, której ostatecznie broni jej materialna i moralna emanacja — wojsko. Duch, istoty, treść narodu broni jej sztuka, literatura, nauka, ale materialnego kształtu życia narodu — państwa i jego formy ustrojowej — broni jego wojsko.

Dlatego najszlachetniejszy tytuł obywatelski, odziedziczony po dawnych wiekach i sprawdzalny jeszcze i dziś, to widniający na płycie grobowej Seweryna Goszczyńskiego, emisariusza Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, uczestnika Powstania Listopadowego, napis: poeta i żołnierz. Obaj pełni posłannictwo o zakresie treści jak najszerzszym — obaj bronią istoty narodu — zarówno podczas pokoju jak i podczas wojny.

MARIAN PIECHAŁ

GRIGORIJ PIETNIKOW

Mówi Łódź poranna

Zaczynam się
Wypływając ze srebrzystoszarych płomi-ni nocy —
Zwyczajnie — jak we wszystkich wielkich miastach:
Nie zaczynam się w centrum,
Gdzie jeszcze śpią,
Albo kładą się spać
Ludzie nocnej zmiany — poeci,
Telegrafistki, które wróciły z dyżuru,
Drukarze i dozorycy,
Wezśnie wstawiamy —
My — tkacze i przadki,
Otwieramy tajemnicę swej pracy, kunsztu,
Nie czas nam stać przed lustrem:
Próbujemy śpiesznie
Opuszczyć labirynty
Z prześwietlonych snów,
Z domów
Jak z ładowni gigantycznych lodzi
Płynących w poranny zmierzch,
Kiedy gwiazdy wyciągnęły już
Ołowiana kreska —
Na spotkanie świtom
Nadechodzącym.
Witają nas dymy niewielkiej żagwi,
Drżące dymki poraszonych świc
I dymy sklezione
z szarych czas
Z daleka — jak krematoria przeszłości,
Widzicie oto nasze twarze
W półmroku jesiennych ulic,
Pod murami,
Przy płotach, gdzie drzewa żyją
Ogrodzonym życiem,
Oddychają z trudem i ponuro
Garbią się,
Podciągają pod siebie ramiona gałęzi.
Tak potrzebne, bo ich przeznaczenie —
Być tutaj...
Zmęczone drzewa Bałut,
Stoków i Widozwewa,
Zagładacie w twarze
Naszych dziewcząt przy krosnach.
Puste są jeszcze w alejach
Szare ławki,
Ale myśli
Tych co się tu wczoraj spotykały
W osobliwym leca świecie
Polaczone,
Pierwsze sklepy już otwarto,
Rusztowania kraja w niebo,
Schody toczą się wieżowców...
A w tym czasie
Z horyzontu —
Dysk czerwony,
Rozrywa otoczkę mgiei
I już poranne miasto mówi...
— Tu łódzkie wiadomości dnia...
A potem słowa te przejmują
Warszaty,
Szyny,
Motory,
I rece robotników,
Oczy...

Źłumaczył ROMAN GORZELSKI

Grigorij Pietnikow, poeta starszego pokolenia, którego dziadek był Polakiem.

GIENNADIJ SERIEBRIKOW

Dzień dobry, planeto

Z mojej ziemi wtulonej w ciszę
kielek słońca się wykolysał —
i już promieniami obrasta horyzont,
światło w fioletcie chmur
soczyście dojrzewa,
chyla się nisko
ku tobie drzewa
wiatrem targane.
Nieśmiały uśmiech jezior cichych
rozplamieniał nagie
chór pianisk zwariowanych gardel,
Niebo nad tobą rośnie jak błękitne ognisko,
Dzień dobry, planeto, kolebko zieleni.
Pędzisz ogromną jak czas przestrzenia.
W madre soczewki chwytasz jak w sidła przestworza.
Switem
zasianym ożyweza rosą
słuchasz pół rozległych —
czy to deszczu tęczywe rosna,
czy to dzwonia bory,
Z twoich sosen czerwonych, ciepłych jak promienie,
sa nasze domy, ziemio,
Dzień dobry, planeto, ziarenko przestrzezi.
Obracaj się po spirali
stromej jak życie.
Grzyb trujący nie wystyrzel nad tobą czernia.
Każdy dzień twój jest bitwą,
Nie bój się, planeto,
jestem z tobą,
jestem z tobą zawsze.

Przełożył z rosyjskiego WASYL KOCZNOW

Giennadij Seriebriakow, poeta i dziennikarz, redaktor działu literatury i sztuki w „Komsomolskiej Prawdzie”.

Pięć pokoiów wamfiladzie

Leży przede mną pożyczka gazeta sprzed przeszło dwudziestu lat: reportaż ze świetlicy Państwowych Zakładów Przemysłu Bawełnianego nr 8. Latwo było wówczas pisać o świetlicach. Wszystko, co powstawało, było nowe, nie było jeszcze wytycznych i wskazań, nie było jeszcze określonej koncepcji ruchu kulturalno-oświatowego, zaczynał się wielki eksperyment, w którym wszelka inicjatywa podchwytana była z entuzjazmem, wszelkie pomysły liczyły się na wagę złota.

Minęły już dwadzieścia trzy lata od chwili powstania tej placówki. Można powiedzieć — ćwierćwiecze za pasem. Wiele się zmieniło od tamtych czasów. Nawet nazwa placówki. Świetlica PZPB nr 8 to dziś Zakładowy Dom Kultury ZPB im. Harnama. Znany? Znamy, ale przede wszystkim z zespołu tanecznego, „Harnamowców”, którzy przysparzają naszemu miastu sławy występnymi w kraju i za granicą. Tymczasem ten zespół to tylko niewielka, choć absorbująca wiele uwagi cząstka działalności Zakładowego Domu Kultury. Do tego, co jest dziś, prowadziła długa, 23-letnia droga, widać jednak była to dobra, mocna droga, jeśli nie naruszyły jej różne burze dziejowe w tej dziedzinie kultury.

Zacząto bez doświadczenia, skromnie, badając co chwył, a co nie, chwytano zresztą prawie wszystko: i zespół teatralny i kukielkowy, gry świetlicowe i odrabianie lekcji, biblioteka i chór. Dziś niewiele z tego zostało. Ale za to „Harnam” przekształcił się w poważny ośrodek upowszechniania kulturalnego i oświatowego. Nie obejrzę się tu bez cyfr, są one wręcz imponujące. Prowadzi się tu osiem grup tanecznych (pięć dziecięcych, młodzieżowa, przygotowawcza do zespołu i wreszcie sam zespół), pięć grup akordeonowych (120 osób), pięć gitarowych (50 osób) grupę skrzypcową, orkiestrę młodzieżową typu odeon (30 osób), która ma być przekształcona w młodzieżową orkiestrę symfoniczną, orkiestrę dętą (istnieje od 1945 roku) i wreszcie kapelę akompaniującą zespołowi tanecznemu. Poza tym zespół plastyki użytkowej, modelarnia, kółko fotograficzne, kursy angielskiego i niemieckiego, pokazy filmowe z prelekcjami, odczyty, spotkania, biblioteka licząca dziś 15 tysięcy tomów i douczanie. W zakładach pracuje wiele uczący się młodzieży. Niektórzy mają trudności w odrabianiu lekcji. Zorganizowano dla nich pomoc w trudniejszych przedmiotach. Te zajęcia cieszą się ogromnym powodzeniem.

Harnamowskie zespoły obejmują w sumie 911 osób, w tym 360 dzieci. Przez Dom Kultury przewija się codziennie około 400 osób, bo najmłodszych przyprowadzają rodzice.

Wiele się od tych 20 i paru lat zmieniło. Ale nie wszystko. Nie zmienił się na przykład lokal. Mimo, że ambicje i zakres działania placówki rozrosły się wielokrotnie, locum pozostało to samo, a nawet zmniejszone. Bo na początku świetlica zajmowała całe piętro. Po październiku, gdy zapanowały tendencje likwidacyjne placówek kulturalno-oświatowych, ta harnamowska wprawdzie została się likwidatorskim tendencjom, ale uszczuplona została o kilka pomieszczeń. I tak zostało do dziś. Więc to wszystko o czym wyżej, mieści się w pięciu pokojach, po fabrykancie Biedermannie. Dla niego były to pokoje duże, dla domu kultury są za małe. W dodatku niewygodne, bo przejściowe. Przez pokój telewizyjny przechodzi się na przykład do innych sal przed nosami oglądających telewizję. Tu telewizja, tam ćwiczy zespół harmonistów, jeszcze dalej gra orkiestra młodzieżowa. Ciasno i głośno. Teraz rozumiem dlaczego musieliśmy dokładnie ustalić termin mojej wizyty. W niektóre dni w sekretariacie odbywają się zajęcia gry na skrzypcach. Pracownia krawiecka zastawiona jest instrumentami muzycznymi.

Notabene pracownicy etatowi nie zajmują dużo miejsca. Jest ich tylko troje. Na całą tę ogromną machinę, gdzie co dzień trzeba załatwić dziesiątki ważnych i nieważnych spraw, przeprowadzić dziesiątki potrzebnych i niepotrzebnych rozmów i w dodatku wypisać całą papierkową robotę, która absorbuje czas i uwagę. O papierkowej burokracji pracownicy mówią z nieklamany obrzydzeniem. Najbardziej jednak narzekają na brak własnego księgowego.



Jakie prawa, jakie prawidłowości rządzią ruchem amatorskim, działalnością kulturalno-oświatową, zbudowaną przecież w ostatecznym rachunku na dobrowolności. Odpowiedź dać chyba może właśnie historia placówki, która przetrwała tyle lat. Jej kierownik, pani Maria Szkudlarek, ma w tej sprawie określone zdanie: wszystko zależy od ludzi. Mamy zespoły, które istnieją od czterdziestego piątego roku do dziś i inne, których żywot był krótki. Istniały dopóki prowadził je określony człowiek.

— Na przykład zespół teatralny, jeden z pierwszych w naszej świetlicy. Działal przez kilka lat i to działał bardzo do brzo, ambitnie, premiery zespołu zawsze były sukcesem, byliśmy w czołówce tego typu teatrów w Łodzi. Tak było, dopóki instruktorem był młodziutki wówczas Roman Sykała. Kiedy on wyjechał na studia do ZSRR, mimo tradycji, mimo naszych wysiłków, zespół rozpadł się. Podobnie z zespołem lalkowym. Istniał długi, tak długo aż jego instruktor Jerzy Ukleja wyjechał z Łodzi. I jeszcze jeden przykład: zespół taneczny, ten najbardziej znany. Powstał zupełnie przypadkowo, kiedy do jednej ze sztuk zespołu teatralnego potrzebna była wstawka taneczna. A niedawno obchodził dwudziestolecie istnienia. Ciągłe z tym samym choreografem — Jadwigą Hryniewicką. Na pewno wiele w tym jej zasługi.

Pani Maria głosi teorię, której sama jest potwierdzeniem, tylko, że wcale tego nie zauważała. Założyła tę świetlicę w czterdziestym piątym roku i już od niej nie odeszła. I nawet się temu nie dziwi. Uważa to za rzecz całkowicie naturalną. To przecież „jej” placówka, choć zawsze pozostaje w cieniu, skromna, sobie nie przypisuje żadnych zasług. Ale kiedy słucham opowiadania jej zastępcy, Andrzeja Klinowskiego, o historii placówki, to, nawet tego nie dostrzegając, mówi: pani Maria otworzyła tę świetlicę... przy zakładach powstała szkoła, uczyło się wówczas dużo osób, więc pani Maria zaczęła ich ściągać do świetlicy... pani Maria założyła zespół teatralny... pani Maria zaczęła organizować bibliotekę... po pięćdziesiątym szóstym roku pani Maria wywalczyła, żeby nie zamykali naszej świetlicy.

Sam Andrzej Klinowski także nie zauważył, że po uszy ugrzązł w tej pracy. 15 lat temu, młodziutki nauczyciel geografii po dopiero co ukończonych studiach, zaczął tańczyć w zespole. I został na stałe. Trzeci etatowy pracownik — Janusz Tomczak jest tu, można powiedzieć od dziecka. 14 lat temu zaczął tańczyć w zespole dziecięcym. I już się z „Harnamem” nie rozstał. Instruktorami zespołów dziecięcych są tu zresztą wieloletni tancerze zespołu — Irena Kik i Sławomir Mazurkiewicz.

* * *

Nie ma dwóch jednakowych domów kultury, tak jak nie ma dwóch jednakowych dzielnic Łodzi. Formy działalności, rodzaj

zajęć warunkuje specyfika dzielnicy, w której się placówka znajduje. Ulica Franciszkańska, to skraj śródmieścia, początek Bałut. Jakże formy pracy mają tu powodzenie, kto w nich uczestniczy?

— To jest dzielnica bardzo wdzieczna, chłonna — mówi pani Maria. — Z frekwencją mamy jeden tylko kłopot: gdzie wszystkich pomieścić i jak się pozbyć tych nadprogramowych, którzy już się nie mieszczą. Przeżywamy nieraz ciężkie chwile, zwłaszcza w środy — dzień wyświetlania filmu. Portierzy rady dać sobie nie mogą, ale odprawieni chłopcy przechodzą przez plot i nie wiadomo którędy jeszcze. Przemykają się na schody, kłaniają w pas, istny dzień uprzejmości, byle tylko ich nie wyrzucić. Mówię: brudny jesteś, ręce masz jak kominiarz. A on bez słowa znika i po chwili zjawia się z czystymi, nie mam pojęcia gdzie je umył. Patrzy błagalnie, żeby nie wyrzucić. Jak wyrzucę, pójdzie na ulicę, żal mi, a tu taki tłok. Żeby chować trochę więcej mięscia, trochę lepsze warunki lokalowe.

„Harnam” nastawił się głównie na pracę z młodzieżą i dziećmi. Jest też żywo działający klub rencistów, około dwustu osób. Nie ma średniego pokolenia, to zresztą prawidłowość we wszystkich placówkach. Dorosli przychodzą głównie, by przyprowadzić dzieci na zajęcia. Można by uruchomić dla nich jakieś wykłady, uniwersytet powszechny, na czas gdy czekają na dzieci. Można by, ale nie ma gdzie.

Co się tu cieszy największym powodzeniem — wynika z wyliczonych na początku zespołów: muzyka. Jakaś taka muzyczna dzielnica. Co prawda nie wszyscy wyobrażali sobie zajęcia tak jak organizatorzy. Pochodził chłopak rok czy dwa, nauczył się czytać nuty i trzymać instrument i:

- Czy ja mogę wystąpić ze swoim zespołem?
- Z jakim zespołem?
- No, z moimi chłopakami, kolegami,
- A gdzie ty chcesz wystąpić?
- No, na naszym podwórku.

Pozwolić czy nie pozwolić, jeden skutek. I już jest nowy „zespół”, a „kierownik” przestaje przychodzić na zajęcia, znika z pola widzenia. Trzeba było zmienić system. Za pierwsze lata nauki w zespole niewielka odpłatność, a potem uczestnictwo w orkiestrze i nauka darmo. To ich zatrzymuje. Nazwiska instruktorów (orkiestre młodzieżowa na przykład prowadzi Józef Klimanek, dyrygent Teatru Wielkiego) gwarantują wysoki poziom i dobry kierunek nauki. Tu się tępi gwałtowność, tu się trzeba rzetelnie uczyć.

Są i dalsze plany, ma powstać sekcja gimnastyki artystycznej i coś tam jeszcze, o czym za nic na świecie nie pozwolono mi napisać, więc nie napiszę. Mogłoby być jeszcze więcej, ale nie ma gdzie. Czy naprawdę nie ma gdzie? Czy w tym mieście, w tej dzielnicy, w tych zakładach nie można wygospodarować pomieszczenia lepszego niż pięć pokoiów w amfiladzie?

fanfaronadą zarzążyć „ogromne pragnienie czułości i miłości, ogromne pragnienie niezwykle intymnego uczestnictwa... pragnienie, aby być zrozumianym, innym razem pocieszonym, przygarbiętym.”

„Pod tym metalowym pancerzem, w którym odbijał się cały świat, pulsowało, — mówił Lunaczarski — nie tylko gorące, nie tylko czułe, ale także kruche, łatwo dające się zranić, serce”.

Wielką to zasługą Lunaczarskiego właśnie, że w miarę sił ochraniał, na ile mógł, dla radzieckiej kultury to „kruche” i łatwe do zranienia serce.

Stosunki poety z komisarzem były luźne, przyjacielskie i zdawałoby się, wykluczały jakąkolwiek czułość. Majakowski, na przykład, nigdy nie tał przed Anatolijem Wasiliewiczem, że lubi go jako bliskotliwego oratora, ale bardzo mało cenil sobie napisane przez niego dramaty i wiersze.

Miałem okazję słyszeć jego publiczne wystąpienia: wszystkie jakieś trzy — cztery razy, nie więcej, ale i to wystarczy, aby zrozumieć i poczuć, jakim on dysponował wspaniałym talentem propagandzisty, oratora, mistrza improwizowanej mowy.

Pamiętam, wczesną wiosną w osiemnastym zmierzał pojechać na stronę Piotrogadzka, do Gorkiego. Ja także potrzebowałem dostać się do tego rejonu i wprosiłem się na współpasażera. Niedaleko Troickiego Mostu do samochodu wskoczył jakiś kudłaty, siwy człowiek bez czapki, w na pół wojskowym tużurku i silnie gestykulując, zwrócił się do Lunaczarskiego z prośbą, żeby w tej chwili skręcił na Wasiliewski w nie cierpiącej zwłoki, poważnej sprawie. Samochód natychmiast zmienił kurs, a człowiek siadł obok Lunaczarskiego i po kwadransie już

wchodziliśmy po trapie na dużą barcę przycumowaną do newskiego brzegu. Barca była nabitą młodymi ludźmi, którzy, zdaje się, wyjeżdżali na front. Byli czymś urażeni i nieprzyjaźnie powitali Lunaczarskiego.

Sam głos Anatolija Wasiliewicza, bogaty w odcienie, liryczny, emocjonalny i giętki od razu usposobił do niego słuchaczy. A to, o czym mówił ten głos, było dla nich całkiem nieoczekiwane: o wiosnie, o bzach, o gwiazdach, o dziewczynach, o białych nocach petersburskich, o poezji Puszkina, o muzyce Glinki. To był poetycki hymn na cześć urody i radości życia. I nagle ten miękki głos — nawet jak gdyby niezdecydowany i kobiecy — stał się nieugięte surowy. Lunaczarski zaczął mówić o wrogach, którzy chcą odebrać robotnikom i białe noce i gwiazdy i wiosnę i bzy i niesmiertelne piękno sztuki.

Gdyby to przemówienie zapisać, być może nie wydałoby się tak dobre, ale w ten wiosenny ranek, przed młodymi ludźmi, oczekującymi szczyty, z serca płynących słów, zabrzmiało ono jak rada na drogę udzielona przez przyjaciela. Nawet ci, co nie rozumieeli odmienności jego zdań, odczuli ich serdeczność i wkrótce prawie nie zostało śladu po ich mrocznej „ponurości”. Nie znaczy to, że nagle zaczęli okłaskiwać Anatolija Wasiliewicza albo też, że szybko podniesieni na duchu rzucili się do niego, żeby wyrazić swój zachwyt; żadnej afekcji tutaj nie było, ale czuło się, że w ich nastroszach nastąpił przełom. Kudłaty człowiek triumfował. Odprowadził Anatolija Wasiliewicza do samochodu gorąco wyrażając mu uznanie. Ja też znajdowałem się pod urokiem prze mównię i znalazłem się w samochodzie nie kryłem przed nim swego zachwytu. Ale Lunaczarski zaczął wtedy mówić

o czymś innym. Było widoczne, że oddając swojej mowie całą duszę, nie myślił już o niej, tylko o następnych swoich sprawach i troskach.

III

Trzeba tylko pamiętać, że takim był coki osiemnasty: wojna domowa, kontrowolucyjne spiski, interwencja obcych mocarstw, słabnący z okrutnego głosu Piter i złośliwy sabotaż tak zwanych mistrzów — i podmiistrzów! — kultury.

Każdego, kto zgadzał się współpracować z Radami, ogłaszali zdrajcą i poddawali bojkotowi.

Urzednicy wszystkich resortów — w tej liczbie sprzedawcy, a także pracownicy poczt i telegrafów, bankowcy — tysiącami opuścili swoje departamenty wzmagając katastrofalny chaos w gospodarczym życiu kraju. Pedagogzy wzbranił się przed nauczaniem dziatwy, aktorzy nie chcieli grać, pisarze nie zbliżali się do tego pokoju w Smolnym, gdzie mieściło się wtedy „Wydawnictwo delegatów robotniczych, chłopskich i żołnierskich”.

Dlatego Anatolij Wasiliewicz z ogromną radością, hataśliwie i po przyjacielsku witał tych inteligentów, bardzo rzadkich w tamtej wczesnej porze, którzy uważali za swój obowiązek pracować w nowym reżimie.

Na tym polegało jedno z głównych politycznych zadań Lunaczarskiego: w najkrótszym czasie przyciągnąć najwartościowsze siły starej inteligencji, ażeby, przezwyciężając swoje kastowe przesady, zaczęła służyć narodowi w nowym ustroju nie ze strachu, tylko z nakazu sumienia. Anatolij Wasiliewicz był jakby stworzony dla wspaniałego wypełnienia tego zadania, ponieważ doskonale rozumiał, że nową kulturę można zbudować tylko na

fundamencie starej i sām był z tą starą kulturą powiązany tysiącami nici, znał i z głęboką czcią kochał jej osiągnięcia.

W jego osobie władza radziecka od pierwszych dni swego istnienia przedstawiała się nam, inteligentom przedrewolucyjnej formacji, w swoim najbardziej czarującym wcieleniu.

Nie mogło nam nie zaimponować czytanie Anatolija Wasiliewicza, jego wykształcenie, jego doskonała znajomość wszystkich dróg i rozdroży światowej sztuki, jego obeznanie z artystycznym i filo zoficznym problematyką.

Trudno wyobrazić sobie innego człowieka, który byłby tak cudownie uzbrojony do historycznej roli, którą przyszło mu odegrać w tych latach.

Rola była trudna i wymagała właśnie tych darów, którymi on rozporządzał z taką szczodrością. Tutaj był niezbędny jego wielostronny talent, jego temperament i takt — a w dodatku potrzebna była jego erudycja.

Przełożył: KONRAD FREIDLICH

Od tłumacza:

Ze względu na szczupłość miejsca możemy zaprezentować naszym Czytelnikom jedynie fragmenty obszernego szkicu wspomnianego Kornieja Czukowskiego, poświeconego działalności pierwszego radzieckiego ministra (komisarza) oświaty, Anatolija Lunaczarskiego. Czytelników którzy znają język rosyjski, zainteresowanych tym tematem, odsyłamy do wydanej w Moskwie w r. 1967 w wydawnictwie „Molodaja Gwardija” książki Czukowskiego pt. „Sowriemieniiki” skąd pochodzą przedstawione tu fragmenty.

K.F.

WANDURSKI

Heleny

Karwackiej

Na wstępie odnotujemy, że gdy monografia Witolda Wandurskiego, piona Heleny Karwackiej, pojawiła się na półkach księgarskich, z prawdziwą satysfakcją powitała ją książka opinia publiczna, w tym także (podkreślmy to) miłośnicy Łodzi.

Od momentu powrotu nazwiska Witolda Wandurskiego na karty historii, narastała pilna potrzeba bliźszego poznania jego życia i działalności oraz literackiego i teatralnego dorobku. Nie mogły wypełnić istniejącej luki, pojawiające się na łamach czasopism okazjonalne artykuły ani też obszerniejsze szkice. Dopiero książka Heleny Karwackiej, daje nam rozległą wiedzę o tym niezwykłym artyście i działaczu międzywojennego dwudziestolecia. Dobrze się stało, że autorka nie ograniczyła swych prac badawczych nad życiem i dziełem Witolda Wandurskiego tylko do problematyki związanej z praktyczną jego działalnością, że nie potraktowała zbyt wąsko tego stosunkowo skromnego dorobku, że pokusiła się o nadanie temu dziełu odpowiednich wymiarów.

Przedstawienie całości kształtu życia i działalności Witolda Wandurskiego, począwszy od wczesnego dzieciństwa aż po jego działalność w Związku Radzieckim, wymagało od autorki nie tylko panowania nad stosunkowo długim okresem czasu, pełnym historycznych wydarzeń, ale także odpowiedniego potraktowania wielostronnej działalności poety. Z tym trudnym zadaniem uporała się Helena Karwacka w sposób znakomity, dając nam książkę nie tylko od schematów „naukowego podejścia”, ale także od bele-

trystycznej sztamperki, w którą popaść tak łatwo pisząc biografii artysty. Waleorem książki jest również to, że autorka nie dramatyzuje sytuacji, nie przejawia dążeń, aby wywołać u czytelnika napięcie odpowiednio spreparowaną atmosferą.

Książka jest napisana pięknym językiem, w sposób niezwykle przystępny, mimo swego naukowego charakteru. Ta zaleta jest następstwem nie tylko stylu Heleny Karwackiej, ale także umiejętne doboru faktów ilustrujących bądź też uzasadniających poszczególne twierdzenia. Poznaliśmy więc dzieje kształtowania się osobowości Witolda Wandurskiego, poznaliśmy jego poglądy i praktyczne działania, jego dorobek poetycki i teatralny. Na szczególne podkreślenie zasługuje wnikliwa analiza twórczości Wandurskiego. Helena Karwacka wiele uwagi poświęca temu problemowi, omawiając obszernie blaski i cienie talentu poety oraz walory jego dokonania na polu teatralnym.

Interesujące są uwagi autorki dotyczące zarówno debiutu poetyckiego Wandurskiego na łamach **Robotnika** jak i drogi, którą przebył od opublikowania w rok później pod nazwą **Trzy salwy** wspólnie z Władysławem Broniewskim i Stanisławem Standem. Była to, jak trafnie ocenia Helena Karwacka „znamienna ewolucja od poety gospodarczych kryzysów i politycznego zamętu, poprzestającego na swoim rejestrowaniu współczesnej sytuacji, do wyraźnie określonej postawy, poety związanej z rewolucyjnymi dążen-

iami proletariatu”. Jeśli do tego dodać, że praca nosi charakter pionierski, że autorka nie mogła odwoływać się do naukowych opracowań, lecz drogą żmudnych studiów w kraju jak i za granicą gromadziła niezbędne materiały, to rezultat jej wysiłku zasługuje na tym większe uznanie.

Pisząc o walorach książki, o twórczym potraktowaniu przez Helenę Karwacką tematu nasuwa się pytanie — czy książka wolna jest od mankamentów? Odpowiedź brzmięć będzie przecząco. Książka nie zdradza żadnych niedostatków, chociaż w tej zwartej relacji znaleźć można równie i nieco słabsze strony. Wydaje się, że należało do nich karty poświęcone problematyce teatralnej. Wiąże się to z sytuacją, którą trafnie ktoś określił pisząc o teatrze Wandurskiego: — „Materiał do postępowania dowodowego rozplywa się w mgłę. Składają się nań przypuszczenia w miejsce faktów, publicystyka w miejsce inscenizacji”.

Nie leży dziwnego, że Helena Karwacka dla analizy teatralnych dokonań Witolda Wandurskiego przyjęła określony punkt widzenia, koncentrując swoją uwagę głównie na walorach jego dramaturgii.

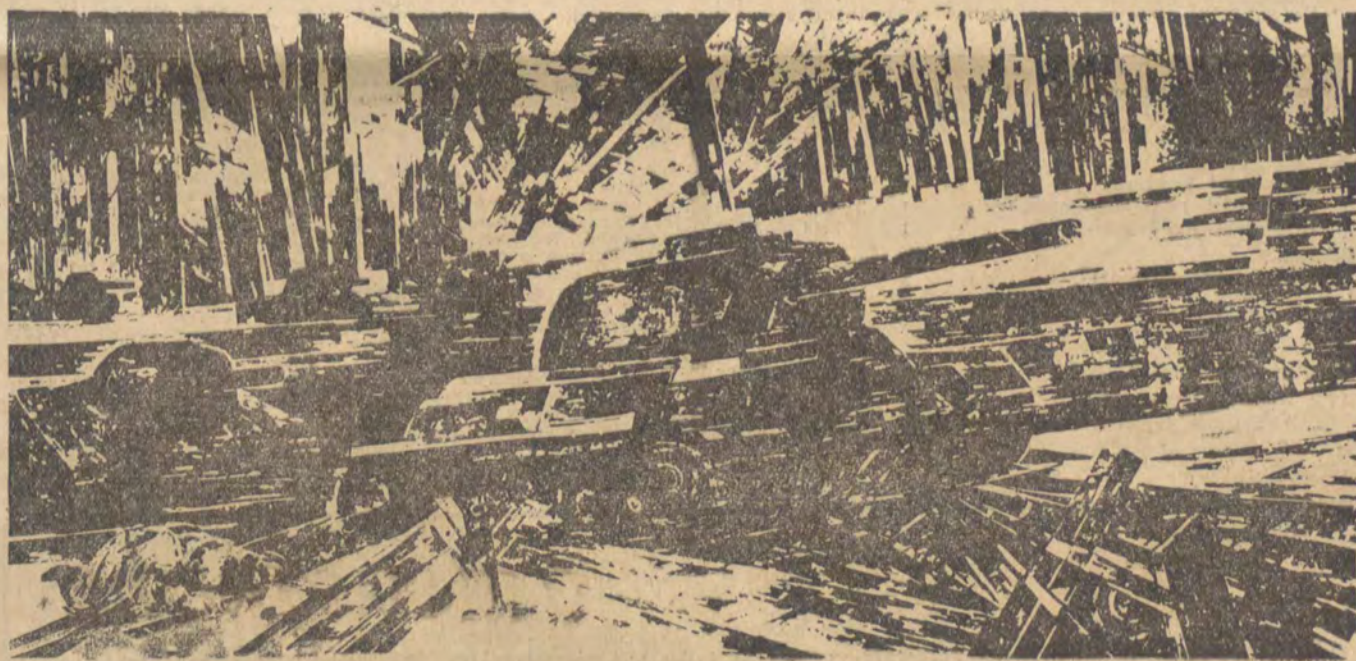
Wydaje się, że ten właśnie punkt widzenia doprowadził Helenę Karwacką do szeregu dyskusyjnych ocen.

Analizując ten okres Helena Karwacka niedostatecznie uwzględniła w swej ocenie walory w jakich znalazł się zespół Sceny Robotniczej po eksmisji z sali lokalnej O.K.Z.Z. przy ul. Narutowicza nr 50. Przecież teraz jego występy muszą się odbywać w ciasnych wypożyczonych salkach, całkowicie nie odpowiadających warunkom teatralnym. Półlegalna działalność warunkowała formy przedstawień. W prowizorycznych, małych lokalach obowiązywały oszczędne, proste fatwy do przedzie, funkcjonalne dekoracje. Napięcie nerwowe, obawa przed wtargnięciem policji i zerwaniem spektaklu dyktowały pośpiech i narzucały tempo dialogom, dla których skróciła jasność gestów

była warunkiem ich komunikatywności. Działając w takiej atmosferze zespół Sceny Robotniczej musiał zerwać z wszelkimi „psychologizmami” gry aktorskiej. Oto chyba główne powody, dla których Wandurski „od wykonawców domagał się nie przeżywania roli, lecz jej budowania z elementów” dających się powtórzyć na zawołanie. To polityka dopomagala Wandurskiemu usilnie propagującemu „konstruktywizm sceniczny” w klarowaniu form sztuki teatralnej.

Podnoszona tu dyskusyjność pewnych problemów dotyczących spojrzenia na teatr Wandurskiego, w niczym nie umniejsza wielkich walorów książki Heleny Karwackiej. Z kart jej studium wylania się postać artysty, który jak niewielu potrafił w takim stopniu zespolić „swoją twórczość z czynnym życiem działacza”, który „potrzebę aktywnego włączenia się w nurt najistotniejszych problemów swego czasu, odeuł jako nakaz epoki, jedynie właściwą postawę współczesnego artysty”. Te słowa nadają publikacji aktualną wymowę. Zresztą cytowane przez Helenę Karwacką liczne fragmenty wypowiedzi Witolda Wandurskiego znajdują także i dzisiaj swojego adresata. Czas nie osłabił żaru jego słów jak i nie osłabił znaczenia jego rewolucyjnej postawy. Ideowość i zaangażowanie, więź sztuki z polityką w służbie socjalistycznej idei — to prawdy, które nasuwają się w sposób oczywisty z lektury nad książką Heleny Karwackiej.

Wydawnictwo Łódzkie zapewniło monografię staranne opracowaną i estetyczną szatę graficzną. Jedno co niepokoi to wysokość nakładu. Należy się liczyć, że zostanie on szybko wyczerpany. Warto na zakończenie podkreślić, że obszerna bibliografia w jakiej książka została wyposażona umożliwia samodzielne studia. Podnosi to jej atrakcyjność. Jest to więc piękna i potrzebna książka, którą należy rekomendować jak szerszemu czytelnikowi. Odegra ona poważną rolę i zdobędzie szeroką poczytność.



Stefan Garwatowski: Forsowanie Nysy

Pamięć jak góra

Od tamtych strasznych dni wojny, pohańbienia poczucia człowieczeństwa — minęło tyle czasu, że zdążyło wyrosnąć i wydorosnąć nowe pokolenie ludzi, którzy nie sięgają pamięcią do tamtych czasów. Spośród milionów ludzi poddanych najcięższej próbie — męczeństwa i groźby unicestwienia wielu napisało pamiętniki, wspomnienia, książki policone między arcydzieła. Kiedyś sądziłem, że po książ-

kach Tadeusza Borowskiego i „Medalionach” Zofii Nalkowskiej nie będzie można napisać nic co by bardziej obnażyło zbrodniczość systemu faszystowskiego. Później czytałem książki, w których znajdowałem wciąż nowe fakty i próby nowej interpretacji tamtej przeszłości.

Czesław Ostankowicz — więzień Oświęcimia, Buchenwaldu i innych strasznych kaźni hi-

lerowskich legitymuje się niskim numerem więziarskim. Znaczy to że zabrano go do obozu bardzo wcześnie, i że doznał więcej, niż inni, którzy w ciągu pierwszych lat wojny udało się uniknąć wysyłki do obozu koncentracyjnego. „Strasza góra Eltersberg” to pamiętnik, okrutny w swojej dokładności. Autor nie spisywał wydarzeń na żywo, lecz w jego pamięci zostały tłumy różnych postaci i związanych z nimi wydarzeń. Na kartach jego książki pojawiają się znowu zbrodniarze hitlerowscy. Ostankowicz przedstawia im tłum ludzi, których znamy i dziś — ludzi, którzy są nauczycielami, prawnikami, żołnierzami, działaczami politycznymi. W wielu wypadkach nie podejrzewaliśmy nawet, że ludzie ci mają za sobą obozy. Inni znowu znani są ze swej działalności w międzynarodowym ruchu antyfaszystowskim. Pośród nich spotykamy ludzi różnych narodowości i profesji, są to ludzie czynu, ludzie podejmujący wal-

kę nie dziś, nie tylko w warunkach pokojowych, podejmowali ją wówczas, w cieniu dymiących krematoriów. Walka była bardzo trudna. Każdy fałszywy krok przy podejmowaniu najbardziej niewinnych przedsięwzięć (niewinnych w normalnych warunkach) narażał tamtych ludzi na śmierć, a co najmniej męczeństwo. Nie cofali się jednak przed niczym. Oto w warunkach KL Buchenwald prowadzili oni nauczanie. Z myślą o wolności, o zwycięstwie podejmowali nauczanie dzieci w zakresie szkół podstawowych, średnich, a nawet wyższych uczelni. Zorganizowano tu także Międzynarodowy Ruch Oporu. Ludzie różnych narodowości, różnych orientacji politycznych podjęli solidarnie walkę z faszyzmem. Walka ta toczyła się na różnych płaszczyznach. Bo walka o ratowanie chorych, skazanych na śmierć w warunkach obozowych, miała również wielkie znaczenie, jak walka militarna. Była to walka o ratowanie człowieka, a

zarazem walka o zachowanie w tym skupisku skazanych i poniżonych, o ratowanie najwyższych humanistycznych wartości, walka o przetrwanie.

Więzień obozu koncentracyjnego w każdej chwili narażony był na śmierć. Nie musiały temu towarzyszyć szczególne okoliczności. Wystarczył fakt, że ktoś znajdował się w obozie. A jednak znaleźli się ludzie, którzy zawsze podejmowali ryzyko. Oto więźniowie ratowali Żydów skazanych na śmierć, „podmieniano” trupy. W barakach obozowych i w obozowych warunkach zorganizowano sprzęt potrzebny do uruchomienia własnej kłofalówki, która mogła przysłużyć się w momencie podjęcia walki zbrojnej. Gromadzone też broń i uruchomiono odbiorniki radiowe z części wykradanych hitlerowcom. Więźniowie uruchomili nawet własną siłownię, potrzebną oddziałości.

Książka Czesława Ostankowicza jest może nie tyle doku-

mentem męczeństwa, co dokumentem walki. Walki, jak podkreśla sam autor — podjętej „w cieniu krematorium i obok sal tortur, ale również w halach zakładów wojennego przemysłu Trzeciej Rzeszy, w sztolniach tajnych fabryk i równie zakonserwowanych bunkrów, w gabineciech lekarskich, zamkniętych w kałtonie przez przedstawicieli faszystowskiej medycyny i faszystowski służących”.

Można spodziewać się, że ten znakomity dokument trafi do rąk młodzieży, dla której tamte lata, to już historia, jak i do rąk tych, którzy skłonni są zapominać o zbrodniach faszystowskich, a także do rąk ludzi, którzy w tamtych latach walczyli o godność najwyższą — człowieczeństwo.

Czytałem ostatnio „Straszną górę Eltersberg”. Wyd. Łódzkie, str. 292, cena 18 zł.

Cały światek w „Spe-lunce” jest skazany na bezsilne trwanie w kręgu rządzących praw i zwyczajów. Nie ma tu bohaterów pozytywnych, nie ma ludzi zwyciężających, bo w społeczeństwie opartym na pieniądzu wszystko zostaje podporządkowane sile, bezwzględności i okrucieństwu. Jedynym wyzwoleniem jest śmierć, ale i ona często zjawia się nagłe, przynoszona przez innych, staje się pożywką dla ludzkich spekulacji.

K. F.

Daniel Fuchsa: „Spelunka”, PIW, 1968 r. Stron 340. Cena 30 zł.



SPADEK

Znany poeta, Jan Maria Giges, z powodzeniem już próbował swoich sił w prozie, ale dopiero ostatnia jego powieść pt. „Spadek” każe nam się bacniej przyjrzeć tym prozatorskim poszukiwaniom pisarza. Można bez przesady powiedzieć, że otrzymaliśmy jedną z najlepszych w literaturze polskiej książek poświęconych problematyce dwudziestolecia międzywojennego.

Giges, który młodsze lata spędził na Kleleczyźnie, wraca w te strony na kartach swojej powieści. Tego rodzaju powroty są na ogół sentymentalne, ale pisarz potrafi znaleźć dla spraw, które zna z autopsji, odpowiedni dystans: jest wobec nich surowy, ale sprawiedliwy. Kreśli przejmujący obraz podkieleckiej wsi, przedstawia sugestywny wizerunek szlacheckiego dworku, oddaje burzliwą, napiętą atmosferę polityczną II Rzeczypospolitej.

Mamy tutaj zresztą ukazane podwójne dojrzewanie: z jednej strony ciągle pogłębiającą się degenerację ustroju politycznego w Polsce, która zaczyna już toczyć faszyzm, z drugiej zaś strony dojrzewanie Xawerego, narratora powieści, który w tej atmosferze moralnej musi się wykoleić pod brzemieniem swojego klaszorskiego dziedzictwa.

Jest wielkim sukcesem Giges, że psychologiczny portret młodego człowieka potrafił osadzić mocno w ramach epoki precyzyjnie wyrażając współzależność dojrzewania bohatera z polityczną perspektywą kraju.

I chociaż unika w swojej prozie drastycznych scen, stworzył Giges w ten sposób jedną z najbardziej przejmujących książek o II Rzeczypospolitej.

K. F.

Jan Maria Giges: „Spadek”, PIW, 1968, str. 243, cena 18 zł.

SPELUNKA

Państwowy Instytut Wydawniczy zapoczątkował wydawanie nowej serii „Proza współczesna”, w której mają w przyszłości znaleźć się najbardziej cenne i głośnie utwory współczesnej literatury światowej.

Otrzymałmy więc „Spelunkę” Daniela Fuchsa,

„Każdy kocha Opalę”

I słusnie. Jest coś w tej sztuce amerykańskiego dramaturga, co umuje i jedno czesnie stawia ja ponad tego typu modne w Ameryce komedio-kryminały.

Wiara w ludzi bohaterki sztuki Opali sprawia, że zreczna lecz blaha w zasadzie fabula sztuki nabiera głębi i wręcz irracjonalnego humanizmu na tle stosunków, które autor szkicowo, ale dobitnie przedstawia.

Humanizm ten jest bliski andersenowskiej baśniowości. Postać Opali jest światłem i urokliwym dramatycznym.

Maria Kozierska wychodzi z tej nielatywnej roli obroną reką. Trzeba być pozabawionym najmniejszych akcentów drapięcości w głosie, geście, spojrzeniu, płaczu i śmiechu, żeby ciepło wewnętrzne Opali promieniowało bez przesady i fałszu. Dobroć i bezbroność bohaterki sztuki jest jej postawą z wyboru, a nie głupoty lub tchórzostwa. W tym tkwi heroizm biednej śmieciarek i jej wyobrażenia szczęścia.

Skrupulatność postawy Opali na ogół bawi współczesnego widza, ale nie budzi pogardliwego śmiechu. Jest to chyba coś, co napawa optymizmem Maria Kozierska nie przekracza granicy między zabawnością, a śmiesznością, najlepsze momenty tej gry, to kwestie, gdzie ujawnia się nie ta wzruszająca i bezbronna śmieciarka, lecz ta świadoma swojej potrzeby wiary w człowieka, bohaterka Opal.

Gloria Gulock, to dziewczyna, która ma już za sobą sporą porcję poniewierki i zepsucia, przy czym nie grzeszy zbyt dużą inteligencją. Jest więc podatna na wpływy silniejszych indywidualności, jak najbardziej zaś jak ona dążących do wyzwolenia się z nędzy. Barbara Wałkówna gra taka prostą dziewczynę ze zmiennym szczęściem. Dość często na słabe bodźce reaguje przesadnie i w nieco uproszczony sposób. Nie odnosi się to oczywiście do warstwy komediowej utworu, gdyż konstrukcja tej warstwy nie wymaga szczególnych przyspraw interpretacyjnych, co reżyser Maria Kaniwska „wyczerkowała”.

Najsilniejsza indywidualnością okazuje się Opala Kronick. Gloria Gulock najczęściej z wszystkich dyktujących na życie „pierwszej naimnej” ulega sile jej dobroci. Niewatpliwie trafnie rozegrała Wałkówna scenę poddawania się zdobywczym zabiegom wykołująca Brad

Jordę Wintera. „Profesor” jest „diaboliście intelektualny”. Ma tylko jedno plucie (drugie stracił w więzieniu), nie dla niego życie w ubóstwie. Szuka szansy życiowej. Taką szansą jest zabicie ubezpieczonej uprzednio na wysoką sumę Opali. On właśnie, Bradford Winter, jest najbardziej wyrafinowaną i tragiczną postacią.

Bohdan Wróblewski gra „profesora” statycznie. Niewiele udziela się nam z tej jego osobistej tragedii, pokrytej jej pancernym cynizmem. Ten pancerz jest tak grubo, że aż nieprzenikliwy. Bradford Winter to znakomita rola, Łaknienie zbrodni wywodzi się u „profesora” z przesłanek racjonalnych, a nie emocjonalnych czy czysto deterministycznych. Opal, demon dobroci, nie może zmoczyć silnej woli i chęci zysku piekielnego profesorka.

Trójkę przyjemniaczków dybiących na życie Opali uzupełnia Salomon Bozo, o przyszek bez intelektualnych porównań, niemniej jednak „ojciec duchowy” Glorii i Bradforda. Kazimierz Talar... konsekwentnie interesował się dość niezłożoną, charakterystyczną postacią. I wreszcie, jakby wyodrębniona, rola Doktora. Już w samym założeniu tekstowym trochę skoczowa i groteskowa. Trudno nie wdać się w wrmytliwe komizmy, gdy gra się człowieka ze skrzyżowaną sziwą (postrzał) i nie bawić publiczności samym wyglądem i zachowaniem. Mieczysław Szargan odegrał jednak swola charakterystyczne etudę zabawnie i niebanalnie. Głównie chyba dzięki poważnemu potraktowaniu tej najbardziej komediowej roli.

Drugoplanowa rola Joe Jankie — policjanta grał Bogumił Antezak.

Sztuka bardzo podobała się publiczności, co mimo wysu nietylko powyżej zastrzeżeń odnośnie wykonawstwa, nie było dla mnie zaskoczeniem. Prostoła, wdziek, dowcip i dreszcz emocji usprawiedliwiają powodzenie tej sztuki w zupełność.

„Teatr Propozycji”

Teatr Propozycji Polskiej Sztuki Współczesnej zainaugurował sezon 1968-69 pokazem sztuki Zbigniewa Nienackiego — „NEKROPOLIS”.

Jak zwykle foyer Małej Sali Teatru Nowego nie mo

gło pomieścić publiczność rekrutującą się ze środowisk artystycznych, naukowych, działaczy i władz kulturalnych Łodzi oraz innych zaproszonych gości, którym bliskie są sprawy teatru.

Artyści sceni łódzkiej bardzo pięknie odczytali tekst sztuki. Wystąpili w rolach: studentka — Maria Wilhelm, Przewodniczący — Janusz Mazanek, Nauczyciel Wasiak — Zygmunt Zintel, Antropolog — Bohdan Mikuć Kłepczarkowa — Celina Klimeczak, Józefacka — Maria Białobrzaska, Wanda — Róża Czaplowska, Stefan — Bohdan Sobiesiak, ogrodnik — Ryszard Słogowski, Milicjant — Marian Stanisławski, Doktor — Marian Stanisławski, Chłob I — Ryszard Słogowski, Chłob II — Marian Stanisławski. Reżyseria — Bohdan Mikuć.

Pełnospektaklowa sztuka „Nekropolis” znakomicie mieściła się w analityczno-dyskusywnych założeniach „Teatru Propozycji”. Żywym i bieżącym i dramatycznym utworem Nienackiego mógł wywołać i wywołał wiele kontrowersyjnych refleksji odnoszących do skrajnych, niekiedy błyskotliwych i paradoksalnych stwierdzeń i wywodów autora. Autor przeprowadził swów wywód prawie historiozoficzny w sposób dozwolony, zachowując jednak na koniec powagę tonu w dramatycznym i mimo wielu uszczypliwości, optymistycznym rozwiązaniu. Jeszcze w dodatkowej nauce zabrzmiało echo „przewrotności” konstrukcji dramatycznej utworu. W rólach Nienacki pokazuje mechanizm kreowania przez tłum morderczyń na święta. Oczy

wście tłum nie zna „całej” prawdy o tej, która gloryfikuje. Jest to socjologicznie i psychologicznie dobrze podpatrzona scena.

Nienacki walczy z mitami w imię czystości tradycji. W tym dyskursie pozbawiając niekiedy źle wydołyte przeraźliwe tony, sa to jednak sekwencje, które autor może przepracować, a reżyser przez odpowiednią akcentację osłabił lub nawet zabił wywułkiatąc zasadniczą wymowę dramatu.

To, co nazwałem przewrotnością, jest w „Nekropolis” „uwikłunkowością kompozycji”. Gdy jedni wierzą bez zastrzeżeń temu, co podaje legenda, dochodzą do zwątpienia, to inni (głównie bohater — antropolog) przez sceptycyzm dochodzą do akceptacji nawet legendy — jeżeli służy ona ludziom, jeżeli mieszczą się w życiodynamicznych źródłach tradycji, jeżeli onanie i zdrowe siły żywym.

Wiólna pointa w „Nekropolis” nie rozbiła logiki utworu, nie służy jednak ani, znaczeniowo ani dramatycznie rozkwitaniu utworu. Tragiczna scena samobójstwa Wandy psuje tonację i klarowność utworu dramatycznie przeaktywaniem.

Sadze, że w „Nekropolis” Nienacki jest mniej „niszczyć cieleski” niż w innych swych dramatach — dochodzi do bardziej skryształizowanych konkluzji. Pozostała mu jeszcze skłonność do niesamowitości.

Co do publiczności biorącej udział w pokazach, bo rola naszej publiczności jest czynna, to nie okazywała zbyt wielkiego przerażenia.

OBIEKTYW

Krakowski embarras de richesse

Na wszelki wypadek na wstępie wyjaśnić tytuł. Slegam do nieocenionego „Słownika wyrazów obcych” Władysława Kopalińskiego i odczytuje: „Embarras de richesse — kłopot z powodu nadmiaru a, zbyt wielkiego wyboru”. Dostojnie „richesse” znaczy bogactwo. Ten tytuł XVIII-wiecznej komedii d'Allainvala, który stał się francuskim idiomem, zawiera pozorną sprzeczność. Jakże to, może ja kogo, kłopoty ma się z bogactwem? A jednak.

Pewien skromny urzędnik przed wojną, który wygrał milion złotych na los Loterii Państwowej, przez bogactwo całokształtu się wykołubił. Tracił pieniądze bez sensu po restauracjach, kupował zbędne, ale za to drogie przedmioty, wręczał złotówkę napiwki, a wszystko po to, by zrekompensować sobie dotychczasowe życie pełne przywilejów i wyrzeczeń. Oczywiście, stał się ofiarą różnych kombinatorów i wydrwiniętych, ostatecznie wyładował w zakładzie dla psychicznie chorych Nie wytrzymał presji bogactwa, nie umiał go właściwie wykorzystać.

Gdybym od tej historii z mózgiem przeszedł bezpośrednio do sprawy, którą chcę w najbliższym T-O poruszyć wypadoby obrazić. A nie zamierzam nikogo obrazić. Proszę więc czytelników, by nie przeprowadził pochopnie analogii między opowiadaniem o nieszczęśliwym wybrańcu fortuny, a koncertem rozrywkowym pod nazwą „Studio Uno-wocześnieść”, nadanym przez Telewizję Kraków w dniu 27 października (reżyseria — Włodzimierz Gawronski).

W ubiegłym tygodniu powitałem na tym miejscu serdecznie (bez uprzedzeń) start krakowskiego Telecentrum na Krzemionkach. Jestem głęboko przekonany, że w planowaniu sieci stacji telewizyjnych w Polsce traktowano dotąd sprawę Krakowa po macoszemu. Najpierw długo nie miał Kraków w ogóle studia telewizyjnego. Wyprzedziły go o kilka lat inne ośrodki: po Warszawie — Łódź, Katowice, Poznań, Wrocław i Gdańsk. Potem próbowano wyrównać ten błąd półśrodkami: obdarowując mikrokopijnym teledziem bez stacjonarnej aparatury — oraz wozem transmisyjnym.

Jeżeli mimo tych superskromnych warunków Kraków dotrafił wpisać się trwale i dostojnie w program krajowy TV, jeżeli niektóre krakowskie pozycje zyskały sobie powszechnie uznanie, to zaawidując należy żywotności i inwencji tamtejszego środowiska artystycznego oraz zdecydowanej chęci włączenia się w produkcję telewizyjną na miarę swych możliwości, na miarę rangi, jaką posiada Kraków w polskim życiu kulturalnym. Jednocześnie niezadowolenie z połowicznego rozwiązania nie ustawało. Nie ustawały również starania o studio z prawdziwego zdarzenia.

I wreszcie cel został osiągnięty. Kraków uzyskał najnowocześniejsze studio w kraju. Sama jego powierzchnia bije wielkością niemal dwukrotnie studio łódzkie, którym do niedawna tak się szczyliłiśmy. Kompletna aparatura studyjna dla Telecentrum na Krzemionkach, cał-

kowicie wykonana w kraju, jest ewidentnym wyrazem szybkiego rozwoju naszej elektroniki, która dorównuje już wysoko rozwiniętemu przemysłom zagranicznym. Kraków ma w tej chwili pełnię możliwości pełnia, oczywiście, relatywna, i względniakość aktualne warunki, by zabłysnąć na ekranach telewizorów pięknym blaskiem.

Ale w sensie programowym wystartowano nie najlepiej. Można chciwno właśnie zbyt dobrze, może chodziło o zrekompensowanie z miejsca owych „lat chudych” Telewizji Kraków. Nie zmienia to faktu, że wyprodukowano show w nie najlepszym gatunku, choć pod obiecującą nazwą, nawiązującą do wiosennej cyklicznej rewii telewizyjnej „Studio uno”. Ten program miał zapewne ośmić Polskę, podobnie jak wstępny bojem, nauczyć, jak się robi telewizję.

Nagromadzono właściwie wszystko, na co Kraków w sensie rozrywkowy stał. Czym była bogata i słonna scenariuszowa zajęli się zatrudnowani autorzy tekstów dla kabaretu w „Jamie Michalkowej” — Tadeusz Kwiatkowski, Bruno Miecuchowski i Jacek Szwarc. Zaangażowano znakomitych wykonawców z tego kabaretu, m. in. Stebnicką i Cebulskiego. Z pianiczy „Pod Baranami” wysuka no pierwsze gwiazdy: Ewę Demczak i Mieczysława Święcickiego. Ogłoszono pospolite ruszenie pianistek krakowskich z doskonałymi „Skaldami” na czele. Nie pominięto operetki i baletu. Do blagiego dialogu zwerbowano aktorów dramatycznych i to tej miary, co Fabisiak i Krzyżki, i tak dalej. I tak dalej.

I co? I nic. Otrzymałiśmy w sumie program manieryczny i nieskładny, za bardzo nastawiony na imponowanie publiczności w kraju, by mógł istotnie bawić. Rozmach był, koncepcji zabrakło. Jedyną koncepcją. Bo koncepcję i fascynację techniką był aż za wiele. W efekcie nawiązujące się na wstępie wątki gdzieś się po drodze porwały i wygubiły. W drugiej części koncert krakowski wskoczył w znaną, wykładaną koleiną występów estradowych, jakich wiele. Nawet brawa puszczano z taśmy magnetofonowej, by artyści mogli składać ukłony i by nie już nie zakłócało estradowego banatu.

Obszedłem się z koncertem krakowskim okrutnie, ale nie wypływa to z niezyczliwości. Po prostu Kraków stał na tak wielkiej i kryteria chciałoby się wobec niego zaostryż.

Jestem pewien, że Telewizja Kraków, upora się szybko ze swoim embarras de richesse. Przede wszystkim dlatego, że najsurowszych sędziów ma u siebie w miejscu, we własnym środowisku, które nie wybacza żadnego potknięcia. A już w żadnym razie potknięcia nie oczekiwaliśmy milonów widzów. Z Krzemionek napisaliśmy z pewnością do nas z pewnością znakomite programy. I to będziemy chwalić.

Wł. Tadyszewski

spektakle tygodnia

	spektakle	widzów	proc.	
TEATR WIELKI	„Zemsta nietoperza”,	2	2520	100
	„Pan Twardowski”,	2	2520	100
	„Cosi Fan Tutte”,	1	1260	100
	„Tosca”,	1	1134	90
NOWY	„Zeglarz”,	2	1400	100
	„Czerwone pantofelki	2	1400	100
	„Skiz”,	1	700	100
	„Pierścień wielkiej damy”,	1	630	90
MAŁA SALA	„Skiz”,	2	320	80
	„Gra miłości i przypadku”,	3	570	90
POWSZECHNY	„Kawior i kaszanka”,	4	2640	90
	„Radziwiłł, panie Kochanku”	1	660	100
	„Szelmostwa Skapena”,	1	1320	100
JARACZA	„Każdy kocha Opalę”,	3	1845	97
	„Stendhal i Ska”	5	1555	75
OPERETKA	„Hrabina Marica”	6	6365	92
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Okoliczność łagodząca”,	6	1872	100

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Patrzac na repertuar tegoroczno-go przeglądu filmów radzieckich jednego możemy być pewni, że pozycją pierwszą wśród wszystkich propozycji będzie adaptacja tolstojowskiej „ANNY KARENINY” dokonana przez Aleksandra Zarchego. Na premierę tego filmu czekaliśmy z dużą niecierpliwością, gdyż

czasami, gdy Greta Garbo czy Vivien Leigh wcieliły się w postaci heroiczne powieści Tolstoj, należą do dalekiej przeszłości. Czekaliśmy też na rosyjską „Annę Kareninę”, po niej spodziewać się mogliśmy bowiem wiele. Pozwalam sobie przypuszczać, iż film Zarchiego przyjdzie nam być dla większą satysfakcją, aniżeli „Wojnę i pokój” Bondarczuka, który przyniósł nam jednak wiele rozczarowań.

Znając pletyzm radzieckich filmowców wobec literackich pierwowzorów narodowej klasyki, mogliśmy się obawiać, że i „Anna Karenina”, poczęta z najlepszych intencji, może grzeszyć tym, co zarzucaliśmy Bondarczukowi, a więc głównie dosłowną ilustracyjnością tekstu Wielkiego Mistrza rosyjskiej prozy, która to dosłowność zaważyła na filmowym niepowodzeniu tej adaptacji.

Zarchi dołącza się swym filmem do szeregu tych mistrzów kamery, którzy od dziesiątków lat z uporem toczą boje o to, by dla wielkiej klasyki znaleźć współczesny, operujący nowym tworzywem odpowiednik w postaci ekranowej wizji literackiego tekstu. I tak jak wielu musiało Zarchi odnieść i swoliste zwycięstwa i swoliste porażki, gdyż jak wiadomo nie znalaziono jeszcze klucza, który w sposób doskonały

otwierałby świat wielkiej literatury dla sztuki kina. Zarchi okazał się jednak konsekwentny w adaptacyjnym działaniu, a że ta konsekwencja pocliagnęła za sobą okoliczności, które pozwoły wielu widzom i krytykom stawiać mu zarzuty, to już inna sprawa. Zarchi wybrał z tolstojowskiego dzieła jego wątek podstawowy — dramat wielkiej miłości, tragedię kobiety, postawionej przez miłość wobec problemów, których żyjąc w swej epoce rozwiązać nie mogła. Adaptacja Zarchiego jest więc przede wszystkim filmem psychologicznym-obyczajowym. A pamiętamy, iż powieść Tolstoją zawierając również historię Lewina, jego reformatorskiej działalności i jego małżeństwa pozerzeta krąg podjętych problemów. Wyraźniej również u Tolstoją zarysowana była charakterystyka i ocena środowiska, w którym przyszło Annie żyć i przeżyć swą tragedię.

Filmowa „Anna Karenina” jest dramatem rozgranym w bardziej kameralnej tonacji, choć widać, że twórcy starali się uzasadnić jej tragiczną determinującą presją środowiskowych konwenansów. Toteż niewatpliwym sukcesem twórców filmu jest to, że udało im się odtworzyć swoisty koloryt epoki, zachować pewne charakterystyczne dła carskiej Rosji detale, dostrze-

galne nie tylko w pieczołowitym odtworzeniu stylowych wnętrzy salonów, mieszańk, dworców czy choćby toru wyciągowego i w znakomitej kostiumologii, ale także w rodzajowych scenach obyczajowych.

Jak trudno twórcy filmowemu dokonywać wyboru, niech świadczy choćby fakt, że mimo podstawowego założenia, nie umiał Zarchi zrezygnować z postaci Lewina, która w filmie w zasadzie nie pełni żadnej funkcji, a odwołuje się tylko do pamięci tych, którzy znają literacki pierwowzór.

Wrómy jednak do głównego sensu filmu — do dramatycznej opowieści o Annie Kareninie. Sądzić należy, iż Zarchi pragnął tragedię Kareniny uczynić opowieścią bardziej ponadczasową i uniwersalną. Miała to być opowieść o kobiecie w ogóle, o historii, która zdarzyć się może zawsze, opowieść o kobiecie, która kierując się swym własnym ja, namiętnością, marzeniem o szczęściu prowokuje odczucie, które swym w pełni świadomym działaniem składa na siebie nieszczeście nieuniknione. Filmowa „Anna Karenina” jest opowieścią o miłości której oprócz się nie sposób, która stanowi główny sens życia, i której koniec przekreśla wszelkie wartości. Mamy prawo, sądzić, że nie sam reżyser zdołał nas przekonac

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

do swej interpretacji tolstojowskiego dzieła, że swój sukces zawdzięcza Zarchi głównie znakomitej Tatjanie Samojłowej w roli Anny. Patrzac na grę Samojłowej uświadamiamy sobie wielkość sztuki aktorskiej. Samojłowa kreując „Annę Kareninę” odnosi sukces, na który stać chyba niewielu aktorów. Gra jak gdyby przeciw samej sobie, przeciw swej osobowości aktorskiej i kobiecej, tej którą znamy z jej poprzednich filmów. Samojłowa jest piękną kobietą, światową damą, jest uosobieniem godności i dystynkcji, a jednocześnie każdym spojrzeniem i gestem ujawnia ten żywoty namiętności, który zapędził jej Annę w zaulek bez wyjścia. Jej kreacja spełnia przy tym wszystkie warunki, które stawia się dziś nowoczesnemu aktorstwu. Znako- mitą partnerką Samojłowej jest Aleksandra Ślaska, która w polskiej wersji językowej udzieliła jej swego głosu. Interpretując tolstojowski tekst. Gdy jesteśmy już przy sprawach dubbingu, podkreślić musimy, iż jest on znakomity w jakości. Nie przesadzę, gdy powiem, że Andrzej Łapiński pomógł Łanowajowi w udźwięczeniu roli Wrońskiego, a Jan Kreczmar swym głosem podkreślił interpretację postaci Karenina przez Nikołaja Grienc- ko.

EWA NURCZYŃSKA

PROBLEMY FRONTOWEGO MIASTA

Już około dwudziestu lat koła rządzące NRF robią wszystko, by przekształcić zachodni Berlin w bastion antykomunizmu i odwetu, skierowany przede wszystkim przeciwko Niemieckiej Republice Demokratycznej. Ta polityka niebezpiecznych awantur, wspomaganą zresztą przez kraje zachodnie, spowodowała, iż mieszkańcom zachodniego Berlina stworzono sztucznie ciężkie warunki bytu. Odpowiedzialność za to ponoszą ci sami zachodni Niemieccy politycy, którzy oplakują dziś „konające miasto”, usiłując zamaskować jego odwetowe oblicze.

1.

Niedzielnego popołudnia w zachodnim Berlinie, z Kurfuerstendamm rusza autokar z turystami. Koszt zwiedzania miasta wynosi siedem marek. Przewodnik pokazuje ratusz z „dzwonem wolności”, podarowanym przez Amerykanów w 1950 roku, lotnisko w Tempelhoff, jedyny tego rodzaju obiekt na świecie, leżący w samym centrum miasta, pomnik żołnierzy radzieckich opodal Bramy Brandenburskiej wraz z okazałą wartownią radzieckich gwardzistów, stadion olimpijski, na którym odbyły się igrzyska, w 1936 roku i tak dalej.

Zwiedzanie zachodniego Berlina, to właściwie podróż w przeszłość. Gdy autokar z turystami rusza z miejsca, przewodnik zaczyna tymi słowami: „Berlin stał się stolicą Niemiec w roku 1871. Jak państwu wiadomo, Berlin czasowo utracił swój status...”

2.

Gdy turysta, który znalazł się w zachodnim Berlinie, wertuje przewodnik po mieście szukając lokalu, w którym mógłby przyjeść spójrzeć wieczór, wśród anonsów teatralnych oraz reklam nocnych klubów wpada mu również w oko tekst: „Berlin jest stolicą Niemiec. Naszym zadaniem jest utrzymanie miasta w stałej gotowości do odzwierciedlenia tej roli...”

Nie tylko więc przewodnik z autokaru, lecz również rektorzy prospektów senatu zachodniego Berlina i bońscy działacze polityczni galwanizują w niedzielnych przemówieniach młotem o „Berlinie

— stolicy”. Bonn uparcie bronilo tytułu: „stoleczne miasto”, ponieważ już od dwudziestu lat reklamowało je jako „ognisko zachodniej wolności”, jako „drzwicze w ciele Wschodu”, „bastion”, „frontowe miasto” i tak dalej. Program pomocy dla zachodniego Berlina pochłonął już 30 miliardów marek. Wydawałoby się, iż taka suma powinna być tchnąć życiodajną siłę w „stolec”, odciepić od swego naturalnego zaplecza. Serią demonstracyjnych spektakli politycznych, Bonn podtrzymywało swoje pretensje, mając na względzie, że kiedyś w przyszłości będzie rządzić zjednoczonymi Niemcami ze starych cesarskich stolic.

Gdy w roku 1949 ogłoszono w Bonn utworzenie Niemieckiej Republiki Federalnej, w konstytucji zamieszczono specjalny punkt, który głosi: „Berlin jest jednym z krajów Niemieckiej Republiki Federalnej.” Jednakże realia sytuacji były całkiem inne i do dnia dzisiejszego nie się w tej materii nie zmieniło: w zachodnim Berlinie nie ma rządzącego, ani zachodniobermiński senat, lecz komendanci wojsk sojuszniczych, którzy otrzymują rozkazy z Waszyngtonu, Paryża i Londynu.

Nie bacząc na to, Bonn stało uważało siebie za gospodarza w tym półmiejście i usilnie rozdmuchiwało mit, że „Berlin — po starciu — jest stolicą Niemiec”. Bońscy politycy demonstrowali to raz po raz: w lipcu 1954 roku odbyły się w zachodnim Berlinie wybory na stanowisko prezydenta NRF; w październiku 1955 roku boński Bundestag zebrał się po raz pierwszy w zachodnim Berlinie; w lutym 1957

roku Bundestag uchwalił co następuje: „Berlin jest stolicą Niemiec”...

3.

Bardzo kosztowne programy pomocy powinny być zabezpieczone korzystnymi warunkami życiowymi „frontowemu miastu” i przekształcić je w „okno wystawowe Zachodu”. Jest całkiem odwrotnie. Na przykład procent ludzi starszych w zachodnim Berlinie zwiększył się nieustannie i dziś co czwarty berlińczyk w tej części miasta ma 65 lat. Aby zmienić tę sytuację uchwalono pożyczkę pieniężną dla nowożeńców, w wysokości 3 tysiący marek. Pożyczka ulega anulowaniu, gdy młodym małżeństwom rodzi się trzecie dziecko. Podatki w zachodnim Berlinie są o 30 procent niższe, niż w Niemczech zachodnich. Ludzie, którzy zajmują się do pracy w zachodnim Berlinie nie otrzymują specjalnej „dotacji berlińskiej” w wysokości 45 marek 80 fenów. Mimo to miasto systematycznie zamiera. W roku 1967 z miasta ubyło 17,315 mieszkańców.

Berlin zachodni jest miastem umierającym. Utracił on nie tylko swoje zaplecze, lecz także swoją funkcję handlową i rzemieślniczo-giecentrum, swoją rolę głównej siedziby banków, przedsiębiorstw ubezpieczeniowych, towarzystw handlowych itp. Burmistrz zachodniego Berlina stwierdził niedawno: „Berlin, w znacznej mierze, utracił swoje znaczenie jako centrum postępu przemysłowego i badawczego...” A wnioski zespołu inspektorów z resortu przemysłu obróbki metali w zachodnim Berlinie są następujące: „Zachodni Berlin jest teraz miastem drobnego i średniego przemysłu, swego rodzaju przemysłowym dodatkiem do NRF”...

Prawda jest, iż ten, kto inwestuje kapitały w zachodnim Berlinie, mając na uwadze ulgi podatkowe, których Bonn nie żąda, konającemu miastu, zgarnia ogromne zyski. Na przykład nowy drażniący chmur konsernu prasowego Springera, wzniesiony niedawno w zachodnim Berlinie, kosztował 100 milionów marek. Ale przecież Sprenger, niemal naziątny, otrzymał w drodze zwrotu podatku 47 milionów marek, ponieważ boński program pomocy dla zachodniego Berlina przewiduje ogromne ulgi podatkowe. A jeśli spróbować spekulacji na berlińskich ulgach podatkowych, szanse na zrobienie wielkiego interesu zwiększają się kolosalnie. Klasycznym tego przykładem jest wielki dom handlowy „Europa-center” na Kurfuerstendamm. Łączna długość okien wystawowych budynku wynosi ponad półtora kilometra. W jego budowę zaangażowały się duże kapitały wielkich firm handlowych w NRF, które w Niemczech zachodnich płaca naj-



wyższe stawki podatkowe, jako że mają ogromne obroty. Ale kto załwestował w zachodnim Berlinie, powieźmy 100 tysięcy marek, otrzymuje w NRF rabat od podatku w wysokości 157 tysięcy marek! Przykład „Europa-center” w zachodnim Berlinie, kosztował 100 milionów marek. Ale przecież Sprenger, niemal naziątny, otrzymał w drodze zwrotu podatku 47 milionów marek, ponieważ boński program pomocy dla zachodniego Berlina przewiduje ogromne ulgi podatkowe. A jeśli spróbować spekulacji na berlińskich ulgach podatkowych, szanse na zrobienie wielkiego interesu zwiększają się kolosalnie. Klasycznym tego przykładem jest wielki dom handlowy „Europa-center” na Kurfuerstendamm. Łączna długość okien wystawowych budynku wynosi ponad półtora kilometra. W jego budowę zaangażowały się duże kapitały wielkich firm handlowych w NRF, które w Niemczech zachodnich płaca naj-

wyższe stawki podatkowe, jako że mają ogromne obroty. Ale kto załwestował w zachodnim Berlinie, powieźmy 100 tysięcy marek, otrzymuje w NRF rabat od podatku w wysokości 157 tysięcy marek! Przykład „Europa-center” w zachodnim Berlinie, kosztował 100 milionów marek. Ale przecież Sprenger, niemal naziątny, otrzymał w drodze zwrotu podatku 47 milionów marek, ponieważ boński program pomocy dla zachodniego Berlina przewiduje ogromne ulgi podatkowe. A jeśli spróbować spekulacji na berlińskich ulgach podatkowych, szanse na zrobienie wielkiego interesu zwiększają się kolosalnie. Klasycznym tego przykładem jest wielki dom handlowy „Europa-center” na Kurfuerstendamm. Łączna długość okien wystawowych budynku wynosi ponad półtora kilometra. W jego budowę zaangażowały się duże kapitały wielkich firm handlowych w NRF, które w Niemczech zachodnich płaca naj-

wyższe stawki podatkowe, jako że mają ogromne obroty. Ale kto załwestował w zachodnim Berlinie, powieźmy 100 tysięcy marek, otrzymuje w NRF rabat od podatku w wysokości 157 tysięcy marek! Przykład „Europa-center” w zachodnim Berlinie, kosztował 100 milionów marek. Ale przecież Sprenger, niemal naziątny, otrzymał w drodze zwrotu podatku 47 milionów marek, ponieważ boński program pomocy dla zachodniego Berlina przewiduje ogromne ulgi podatkowe. A jeśli spróbować spekulacji na berlińskich ulgach podatkowych, szanse na zrobienie wielkiego interesu zwiększają się kolosalnie. Klasycznym tego przykładem jest wielki dom handlowy „Europa-center” na Kurfuerstendamm. Łączna długość okien wystawowych budynku wynosi ponad półtora kilometra. W jego budowę zaangażowały się duże kapitały wielkich firm handlowych w NRF, które w Niemczech zachodnich płaca naj-

wyższe stawki podatkowe, jako że mają ogromne obroty. Ale kto załwestował w zachodnim Berlinie, powieźmy 100 tysięcy marek, otrzymuje w NRF rabat od podatku w wysokości 157 tysięcy marek! Przykład „Europa-center” w zachodnim Berlinie, kosztował 100 milionów marek. Ale przecież Sprenger, niemal naziątny, otrzymał w drodze zwrotu podatku 47 milionów marek, ponieważ boński program pomocy dla zachodniego Berlina przewiduje ogromne ulgi podatkowe. A jeśli spróbować spekulacji na berlińskich ulgach podatkowych, szanse na zrobienie wielkiego interesu zwiększają się kolosalnie. Klasycznym tego przykładem jest wielki dom handlowy „Europa-center” na Kurfuerstendamm. Łączna długość okien wystawowych budynku wynosi ponad półtora kilometra. W jego budowę zaangażowały się duże kapitały wielkich firm handlowych w NRF, które w Niemczech zachodnich płaca naj-

wyższe stawki podatkowe, jako że mają ogromne obroty. Ale kto załwestował w zachodnim Berlinie, powieźmy 100 tysięcy marek, otrzymuje w NRF rabat od podatku w wysokości 157 tysięcy marek! Przykład „Europa-center” w zachodnim Berlinie, kosztował 100 milionów marek. Ale przecież Sprenger, niemal naziątny, otrzymał w drodze zwrotu podatku 47 milionów marek, ponieważ boński program pomocy dla zachodniego Berlina przewiduje ogromne ulgi podatkowe. A jeśli spróbować spekulacji na berlińskich ulgach podatkowych, szanse na zrobienie wielkiego interesu zwiększają się kolosalnie. Klasycznym tego przykładem jest wielki dom handlowy „Europa-center” na Kurfuerstendamm. Łączna długość okien wystawowych budynku wynosi ponad półtora kilometra. W jego budowę zaangażowały się duże kapitały wielkich firm handlowych w NRF, które w Niemczech zachodnich płaca naj-

wyższe stawki podatkowe, jako że mają ogromne obroty. Ale kto załwestował w zachodnim Berlinie, powieźmy 100 tysięcy marek, otrzymuje w NRF rabat od podatku w wysokości 157 tysięcy marek! Przykład „Europa-center” w zachodnim Berlinie, kosztował 100 milionów marek. Ale przecież Sprenger, niemal naziątny, otrzymał w drodze zwrotu podatku 47 milionów marek, ponieważ boński program pomocy dla zachodniego Berlina przewiduje ogromne ulgi podatkowe. A jeśli spróbować spekulacji na berlińskich ulgach podatkowych, szanse na zrobienie wielkiego interesu zwiększają się kolosalnie. Klasycznym tego przykładem jest wielki dom handlowy „Europa-center” na Kurfuerstendamm. Łączna długość okien wystawowych budynku wynosi ponad półtora kilometra. W jego budowę zaangażowały się duże kapitały wielkich firm handlowych w NRF, które w Niemczech zachodnich płaca naj-

Tylko te władze okupacyjne mają prawo, zresztą obwarowane umowami, swobodnego dostępu do zachodniego Berlina.

Eksperci wyrażają następującą opinię: problem zachodniego Berlina powinien być teraz rozwiązany drogą rozmów pomiędzy Bonn a Niemiecką Republiką Demokratyczną. Były burmistrz zach. Berlina, Heinrich Albertz oświadczył: „Zachodni Berlin leży, jak wyspa, w samym środku terytorium NRD. Geografia stwarza najbardziej nieublagane realia. Dlatego jest nieodzowne, aby podjąć rozmowy między NRF i NRD, i zawrzeć odpowiednie umowy państwowe, odnośnie wszystkich kwestii dotyczących zachodniego Berlina”.

Albo boński minister do spraw ogólnoniemieckich, Herbert Wener, wciąż jeszcze wierzy w stare recepty.

(oprac. St.)



Lewym okiem

PANAMSKIE STATKI GREKA Z ARGENTYNY

Jeśli ktoś woli zawiesić w pokoju makatkę z jeleniem na rykowisku niż słoneczniki Van Gogha, to jest to jego najzwyklejsza prywatna sprawa, nikt nie ma prawa w to się mieszać. Najwyżej pomyślimy sobie o takim, że nie jest estetycznie wyrobiony i że jego upodobania świadczą niekorzystnie o jego poziomie.

Jeżeli to będzie nauczyciel naszych dzieci, pomyslimy już o jego gustach z niejaką troską, chociaż wydaje się, że wciąż pozostają jego prywatną sprawą. Troską byłaby całkiem duża, gdyby rzecz nie dotyczyła jelenia tylko na przykład upodobań w zakresie spędzania wolnego czasu. Niby nas to nie obchodzi, czy ktoś gra na fortepianie, czy w pokera. Czy chodzi o zebrania filatelistów, czy o babkamy za miasto. Naprawdę jednak nie obchodzi nas to tylko wtedy, kiedy sam ów człowiek nie nas nie obchodzi, nie znamy go, mijamy na ulicy jak drzewko, słomkę, pylek.

Jak świat światem, z wyjątkiem paru puštělników, nie było człowieka, który by nie chciał być znanym jak najszerszemu gronu bliźnich. To wielka przyjemność wiedzieć, że o nas wiedzą, myślą, pamiętają, nasłuchują nas, lubią, boją się, szanują. Świadomość, że jest się obecnym w innych świadomościach, jest chyba niezbędna do życia. Tylko nie pamięta się przy tym o drugiej stronie sprawy: rosnąca popularność definiuje nas samych, określa. Gombrowicz mówił: przyprawia nam peębę. Można też powiedzieć — konstruuje naszą legendę.

Każdy popularny człowiek pracuje tak czy inaczej na legendę o sobie. Nie każdy natomiast potrafi jej potem dotrzymać kroku. Zdarza się więc, że legenda pęka jak puchawka, zostawiając trochę nieprzyjemnego kurzu i zastęp zawiedzionych, oszukanych ludzi.

Chciałem pisać o małżeństwie pani Jacqueline Kennedy, a zabrnąłem w niepotrzebne uogólnienia. Temat należałoby chyba potraktować krotko i chwytliwie, wesołutko, bulwarowo. Temat tkwi przecież głęboko w atmosferze bulwarowych komedii, Prateru, gwiazd filmowych i play-boyów z najdroższych kurortów świata.

O Arystotelesie Onassisie wiemy, że jest Grekiem, obywatelem Argentyny, właścicielem kasyna w niepodległym księstwie Monaco, i setek statków, pływających przeważnie pod banderą niepodległej Panamy; że miał żonę, z którą się rozszedł i mnóstwo przyjaciółek o największych nazwiskach; że ma lat 68, chociaż przyznaje się do 62, paręset milionów dolarów, sam dokładnie nie wie ile, kapłacy od złota jacht „Christine” i własną wyspę na Morzu Śródziemnym. Teraz jeszcze będzie miał żonę Amerykankę, wdowę po prezydencie, którego niewyjaśniona do końca śmierć poruszyła

przed kilkoma laty sumienia wszystkich ludzi świata.

O Jacqueline wiedzeliśmy mało, nie prawie — miliony znacznych ludzi współczuły jej po stracie młodego, uśmiechniętego męża, wyobrażały ją sobie na miarę postaci godnych, dumnych, wzorcowych. Legenda. Co zostało?

Każdy mariaż starca z młodą i piękną kobietą ma w sobie coś dwuznacznego. Na scenie jest śmieszny, w życiu budzi odruch sprzeciwu i niesmaku. O coż tu chodzi? O nagły zryw uczucia? Nie do wiary. O pieniądze? Pani Kennedy miała ich dosyć. O więcej pieniędzy dla „Klanu Kennedych”, na akcje polityczne, wyborcze? Może, ale to by też nie było zbyt sympatyczne. O wejście w specyficzne środowisko, specyficzny styl „dolce vita”? Chyba właśnie tak. Użyć a użyć! Na złoty jachcie, na wszystkich wyspach, rzekach i morzach świata, na okładkach tygodników, na ekranach telewizorów. Może będzie i film, jak z Sorają?

Sławę światowej „femme brillante” oceniono wyżej, niż prawdziwą sympatię milionów. Legenda była na wyrost. Naturalnie, nikogo nie obchodzą prywatne sprawy jednej pani, tylko — sympatia dotyczyła innej Jacqueline i została w powietrzu. „Christine” płynie gdzieś na południe. Dzieci wróciły do babci. Jelenie ryczą na makatkach. Wszystko jakieś szmirowate, nie takie, nie a propos.

Dużo szczęścia młodej parze!

ĆWIEK